Nr. 10 CENA 30 GR. Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. ROK I

STER

TYGODNIK ŻYDOWSKI
DLA SPRAW POLITYKI I KULTURY

Adres Redakcji i Administracji:
WARSZAWA
Królewska 29A, tel. 301-62
skrz. poczt. 113
KONTO P. K. O. Nr. 4.043

Godziny przyjęć: codziennie prócz sobót i niedziel — Redakcji 11.—13. Administracji 17—19.

Rękopisów nie zwraca się.

Numer zamyka się w środę

Dr. NATAN BIRNBAUM

Zmarł Natan Birnbaum, jeden z najwybitniejszych myślicieli żydowskich, jeden z duchowych przywódców narodu żydowskiego.

Była to postać nawskroś tragiczna. W poszukiwaniu prawdy, rozwiązania zagadnienia bytu żydostwa i drogi do wyzwolenia swego narodu, przechodził głębokie a bolesne przemiany duchowe. I tak z najbliższego współpracownika Teodora Herzla stał się w ostatnim okresie swego żywota ideologiem „Agudy".

Ocenę tej wyjątkowej postaci ,jego przebogatej twórczości pisarskiej i działalności politycznej przyniesiemy w następnym numerze „Steru".

11 kwietnia 1937 WARSZAWA 30 Nissan 5697

Worek i szydło

„Gazeta Polska" zamieściła w ostatnim numerze niedzielnym sążnisty artykuł, w którym dowodzi konieczności emigracji Żydów przydługim wywodem „społeczno-gospodarczym". Autor przyznaje, że w zawodzie handlowym w Polsce pracuje tylko 6 proc. ludności zawodowo czynnej, wobec 10 proc. w krajach zachodnio - europejskich; z tego stwierdzenia wynika logiczna konsekwencja powieększenia liczebności stanu kupieckiego; otóż ekonomista „Gaz. Pol." (J. W.) istotnie do tego wniosku dochodzi, zastrzega się jednak, że obecny żywioł kupiecki powinien ustąpić po to, by jego miejsce oraz nowe, możliwe jeszcze do stworzenia, placówki handlowe zajęły jednostki silniejsze i sprawniejsze. Dla uniknięcia nieporozumień artykuł wyjaśnia: obecny żywioł kupiecki to niemal wyłącznie Żydzi, a jednostki silniejsze i sprawniejsze to polska młodzież wieśniacza, która ma przejść na wyższy (?) szczebel drabiny społecznej, od pługa do straganu. Dlaczego organ O. Z. N. zaleca jednym porzucić handel, a drugim do handlu się garnąć? Zamiast tę sprzeczność logiczną i ekonomiczny absurd wyjaśnić szczerze i po prostu: bo jedni są Żydzi, a drudzy są Polacy, — p. J. W. zdradza nam łaskawie mądrą tajemnicę: „ghetto zawodowe" oto „walna przyczyna, dla której masa ludności handlującej wykazuje wewnętrzną niezdolność do wyniesienia się na wyższy poziom gospodarczy", i dlatego trzeba ją... zastąpić.

Nie mamy zamiaru polemizować z kimś, kto sprytnie i chytrze konstruuje argumenty dla wniosku z góry gotowego. Nie polemizuje się z tendencją złośliwą. Nie będziemy tłumaczyli, że Żydzi nie tworzą ghetta z zamiłowania, i że jeśli ghetto w Polsce przetrwało w wielu dziedzinach życia żydowskiego, to przyczyniły się do tego jedynie warunki zewnętrzne: na ziemiach polskich Żydzi jeszcze nigdy nie korzystali z całkowitego równouprawnienia, z wolnego dostępu do wszystkich zawodów, — tam zaś, gdzie n a p r a w d ę zniesione zostały ograniczenia dla Żydów, opuścili oni chętnie swoje ghetto zawodowe, np. na Zachodzie Europy. Zresztą zarzuty, czynione Żydom, wszędzie są dostosowane do potrzeby i koniunktury: w Niemczech zmusza się Żydów do emigracji, bo zawładnęli wielkimi domami towarowymi, a w Polsce zarzuca im się, że imają się zacofanych form straganu, i że nie są zdolni do tworzenia nowoczesnych form handlu. Wbrew logice jednocześnie potępia się stragan, i jednocześnie zaleca się go chłopu, jako szczebel wyższy od pługa. Wbrew prawdzie i lepszej wiedzy insynuuje się, że to ekskluzywność żydowska spowodowała, iż „pojawienie się chłopów-kramarzy uruchomić musiało policję i sądy". Przy tym wszystkim zaś p. J. W. z cynizmem udaje niewiniątko, tłumacząc perfidnie, że szydło, które wylazło z worka, to nie jest antysemityzm rasowy, narodowy lub wyznaniowy, lecz rzekomo obiektywna prawda ekonomiczna. Powiedziane to jest jakby Żydom na osłodę. Ale my tysiąckroć wolimy wroga, który występuje z otwartą przyłbicą, od politycznie obłudnego, ideowo tchórzliwego, „obiektywnego doradcy". Jak już musi wyleźć szydło antysemityzmu, to nam wszystko jedno, z czyjego worka ono wyłazi, a dla jasności wolimy, żeby już na worku widniała etykieta — swastyka, mieczyk Chrobrego lub „coś w tym rodzaju".

Stanowisko nasze w sprawie emigracji nie polega na negacji tego zagadnienia. Przyznajemy, że potrzeba emigracji istnieje, i pragniemy rozwiązać ten problemat poważnie. W artykule obok tłumaczymy, że postulat emigracji może być zrealizowany tylko RÓWNOLEGLE z realizacją postulatu równouprawnienia. Panowie z „Gazety Polskiej" i „Dziennika Narodowego", „Kuriera Porannego" i „A. B. C." stawiają atoli postulat emigracji ZAMIAST równouprawnienia. Kto zaś t a k stawia sprawę, ten jest naszym w r o g i e m.

Na tym stwierdzeniu poprzestajemy.

CALAMUS

Dr. M. KLEINBAUM

Sprawa żydowska a socjalizm

W numerze 7. naszego pisma w artykule p. t. „Sprzeczności pozorne" wytknęliśmy Bundowi, że jest jedyną partią żydowską, ba, jedyną partią socjalistyczną w świecie, która nie podziela dążności do niepodległego bytu państwowego swego narodu. Dodamy jeszcze teraz, że ponieważ Żydzi są narodem rozproszonym,. a stworzenie żydowskiego ośrodka terytorialnego nastąpić może tylko na drodze ruchu przesiedleńczego, — Bund jest także zażartym wrogiem wszelkiej inicjatywy w sprawie emigracji żydowskiej. Teraz doczekała się bundowska koncepcja ostrej odprawy ze strony działacza PPS i znanego publicysty „Robotnika", J. M. Borskiego („Sprawa żydowska a socjalizm — polemika z Bundem", Warszawa 1937).

Panowie Alter (przywódca Bundu), Gotlib (poseł na ten obecny sejm) i Hirszhorn („Nasz Przegląd") zdążyli już broszurę J. M. Borskiego zakwalifikować, jako antysemicką. Zarzut ten wydaje nam się śmieszny. Autor wyraźnie się opowiada za równouprawnieniem obywatelskim żydów; nazywa obecne ograniczenia, przeciw nim wymierzone, „krzywdzącymi i niesprawiedliwymi"; szuka sumiennie dróg do przeciwstawienia się „dzikiemu antysemityzmowi"; jest zbyt uświadomionym socjalistą, by móc ściągnąć na siebie zarzut nie świadomego antysemityzmu; poza tym jest sam pochodzenia żydowskiego, a choć do gruntu zasymilowany i spolszczony, wyraża pozytywny stosunek do żydowskiego ruchu wyzwolenia narodowego; zresztą sam przewidział prawdopodobieństwo utożsamienia jego poglądów z dążeniami reakcji, i dlatego zastrzegł się na wstępie:

Autor długo się wahał, czy ogłosić tę polemikę. Wobec olbrzymiej fali antysemityzmu, zalewającej dziś Polskę, wobec niezmiernego zaognienia sprawy żydowskiej w Polsce, reakcja może wyzyskać tę polemikę dla swoich celów. I niewątpliwie to uczyni. Przeważył jednak wzgląd, że skromny przyczynek niniejszy może pobudzić do dyskusji nad sprawą żydowską w obozie socjalistycznym..."

Przypisywanie Autorowi mimo to wszystko tendencji antysemickiej jest więcej niż przewrażliwieniem, bo zakrawa już na urojenie prześladowcze, jeśli nie wynika z chytrej metody unieszkodliwienia .niewygodnych wywodów i argumentów oponenta przez przylepienie do nich fałszywej etykiety antysemityzmu. .Broszura .J. M. Borskiego jest, niezależnie od niektórych błędnych założeń i wniosków, rozprawką poważną i zasługuje na poważną .ocenę. Postaramy się wyłuszczyć z niej rzeczy słuszne i oddzielić je od niesłusznych.

Słuszna jest krytyka koncepcji bundowskiej. Bund twierdzi, że syjonistyczna idea żydowskiej Palestyny jest fikcją, ale tego nie umie uzasadnić. Bund twierdzi, że syjonizm jest reakcyjny, ale to jest argument zapożyczony: „przed wojną światową esdecy polscy nazywali hasło niepodległości u PPS — reakcyjnym".

Niektóre .myśli .Autora .pokrywają się całkowicie z tym, co syjonizm głosi już od lat 40:

—„...sprawę narodową można rozwiązać tylko w płaszczyźnie narodowej... Jest rzeczą bezsporną, że normalny i swobodny rozwój tych cech (odrębności narodowo-kulturalnej) może się odbywać tylko w własnym państwie, na własnym terytorium. Ponieważ Bund nie wierzy w Palestynę i odrzuca emigrację, przeto nie pozostaje mu nic innego — asymilacja Żydów nie wchodzi u niego w rachubę — jak głosić program, który — o! dziwo! — nie uwzględnia odrębnych warunków, w jakich znajdują się Żydzi w Polsce, ani nawet odrębnej kultury żydowskiej, o którą Bund przecież tak energicznie walczy".

Bund utrzymuje, że zwycięstwo socjalizmu w Polsce rozwiąże kwestię żydowską. Wprawdzie przyznaje, że i po zwycięstwie socjalizmu istnieć będzie zagadnienie żydowskie, jako „realny problem polityczny", ale sprowadza ten „problem polityczny" do „przewarstwowienia" tylko, i beztrosko rokuje, że społeczeństwo socjalistyczne jakoś już sobie da radę z tym zagadnieniem w sposób bliżej nigdzie nie określony. Otóż Autor, PPS-owiec, zarzuca Bundowi, że nie korzysta z doświadczeń przewrotu społecznego w Rosji, gdzie się okazało, iż sam .socjalizm sprawy .żydowskiej jeszcze nie rozwiązuje:

——„...w Rosji sowieckiej, gdzie na 170 milionów ludności jest mniej Żydów, niż w Polsce, antysemityzm przed kilku laty dawał się mocno we znaki po fabrykach i na roli. Ruch ten skłonił władze sowieckie do utworzenia republiki żydowskiej Biro-Bidżan... Niech ten przykład będzie miarą trudności, jakie miałby do zwalczania rząd socjalistyczny w Polsce w sprawie żydowskiej..."

Zresztą gdyby drogą przewarstwowienia Żydów naprawdę dałoby się rozwikłać żydowskie zagadnienie gospodarczo-społeczne, to wtedy taka akcja rządu socjalistycznego musiałaby doprowadzić do asymilacji kulturalnej „przewarstwowionych" mas żydowskich:

— „...jednym ze skutków przewarstwowienia byłoby zmniejszenie się tych wielkich skupień żydowskich, jakie istnieją obecnie. A właśnie te skupienia są ośrodkami życia narodowego Żydów i dają mu główne oparcie. Z chwilą, gdy zaczęłyby upadać, powstałby niewątpliwie kryzys w rozwoju tego życia... Więź wspólnoty narodowej straciłaby na spoistości; wpływ otoczenia nieżydowskiego wzrastałby. Mielibyśmy do czynienia z jednym z licznym paradoksów dziejowych: Żydzi polscy, by stać się narodem nowoczesnym, muszą porzucić średniowieczczyznę i ulec przewarstwowieniu, ale gdy to nastąpi, możliwości ich rozwoju narodowego będą mocno podważone".

My to formułujemy zwykle skrótem niemal telegraficznym w krajach diaspory pełne rozwiązanie kwestii żydowskiej jest nie do pomyślenia nawet w najpomyślniejszych warunkach. Znów powołamy się na przykład Rosji sowieckiej: część młodzieży żydowskiej, wprowadzonej do przemysłu w wielkich miastach, doszczętnie się asymiluje i wynarodawia siłą rzeczy, bez żadnego nacisku zewnętrznego, część społeczeństwa żydowskiego, pozostała w obrębie przedwojennego „ghetta", zachowała wprawdzie swą odrębność językowo-kulturalną,ale zato wegetuje pod względem ekonomiczno-socjalnym; połączenie aktywizacji gospodarczo-społecznej ludności .żydowskiej z jej odrębnością kulturalną jest możliwe tylko na oddzielnym terytorium, co skłoniło władze sowieckie do podjęcia .eksperymentu w Biro-Bidżanie, który jest wszak połączony z ruchem migracyjnym.

Bund przeciwstawia syjonizmowi, propagującemu emigrację do Palestyny, rozwiązanie sprawy żydowskiej przez socjalizm, a oto okazuje się, .że i socjalizm (w ZSRR) zmuszony jest uciec się do tworzenia republiki żydowskiej, do organizowania przesiedlenia, czyli do realizowania syjonizmu sui generis, syjonizmu lecz nie w Syjonie.

Autor pepesowski w konkluzji staje całkowicie na gruncie syjonizmu i jego akcji w Palestynie:

—„Z chwilą, gdy w Palestynie udało się wskrzesić siedzibę żydowską — gdzie Żydzi odzyskują godność ludzką i narodową, zatraconą wśród obcych —a w dziele tym wybitną odegrali rolę robotnicy żydowscy, sprawa żydowska weszła na nowe tory. Wstąpiła ona na arenę międzynarodową, jako zagadnienie pozytywne, z wytkniętą dalszą linią rozwoju."

„Cóż z tego, że Arabowie się burzą? Czy dlatego, że faszyzm morduje demokrację i socjalizm w różnych krajach, klasa robotnicza zwija gdziekolwiek swe sztandary? Czy sądził ktokolwiek, że odbudowa Palestyny pójdzie łatwo? Czy właśnie ostatni bunt arabski, wspierany zzewnątrz przez faszyzm włoski i niemiecki, nie potwierdza, że sprawa (żydowskiej) Palestyny jest sprawą demokracji, i że obowiązkiem demokracji jest zająć się rozwiązaniem tej sprawy?"

„I czy masy żydowskie, umęczone wielowiekową niewolą i cierpieniem, widząc, jak się spełniają marzenia ich przodków, — mogą się przejąć programem narodowym Bundu o widnokręgu jakiegoś Kałuszyna czy Kocka?!"

Wszystko to jest słuszne. Ale są też w broszurze J. M. Borskiego zdania niesłuszne. Zaliczamy do nich powołanie się na lorda Marleya, że poza Palestyną możliwa jest masowa emigracja żydowska i do innych krajów. Autor formułuje wprawdzie swój sąd bardzo ostrożnie, stawiając Palestynę na pierwszym planie, i wspominając tylko o „innych terenach, jako miejscu kolonizacji tymczasowej lub stałej", ale widać, że brak mu znajomości rzeczy. Krajów imigracyjnych, których obecny, statyczny stan rozwoju pozwoliłby na absorbcję nowych przybyszów do istniejącego organizmu gospodarczego, w ogóle nie ma. Wchodzić mogą w rachubę jedynie kraje, które nakładem .wielkich kapitałów i wysiłku pionierskiego imigranci żydowscy musieliby dopiero skolonizować, by stworzyć dla siebie gospodarcze warunki bytu. Otóż w obecnym stadium zarówno żydowskie kapitały społeczne, jak i pionierski entuzjazm powinny się ześrodkować w Palestynie i nie rozpraszać się w żadnych innych „terenach kolonizacji tymczasowej lub stałej". Nie powinny tam iść i .— nie pójdą. Szkoda fatygi. Pomysł podobny .wysunął już raz Teodor Herzl 30 zgórą lat temu (Uganda), i przepadł; przejęli go potym terytorialiści i prze padli; przejmują go obecnie neo-terytorialiści („Frajland") i przepadną. Kolejność, podyktowana zdrowym instynktem mas, nakazuje: nasamprzód odbudować Palestynę! Wpierw — ojczyzna, a po tym — nowe azyle!

Drugi błąd, jaki Autor popełnia, to arbitralne orzeczenie, że w Polsce na zawsze zostaną tylko spolonizowani Żydzi, że zresztą wszelkie grupy narodowe nie na ojczystym terytorium „z biegiem czasu asymilują się w nowym kraju i wsiąkają w inną glebę narodową". .Nie zgadzamy się z Autorem, że wszystkie mniejszości narodowe na całym świecie czeka jeden los— asymilacja; nie zgadza się z tym także demokratyczny punkt widzenia; nie zgadza się zresztą i PPS, która domaga się szkoły polskiej dla dzieci robotników-Polaków za granicą, a w swym nowym programie umieściła postulat autonomii narodowo-kulturalnej dla wszystkich mniejszości. Autor myli niektóre pojęcia: naród żydowski z Polską istotnie nie jest związany, jego ojczyzną jest Palestyna, ale ta jego część, która w Polsce „na zawsze zostanie", będzie mogła pogodzić obywatelski stosunek do Państwa Polskiego z kulturalno-historycznym przywiązaniem do Narodu Żydowskiego. Chyba że Autor .stoi na .stanowisku .tworzenia państw wyłącznie w granicach etnicznych — rzecz w praktyce omal niewykonalna.

Autor wyraża przypuszczenie, że pewna niechęć do Żydów pozostanie „jeszcze później i znacznie później", domyślamy się: znaczy to, także w ustroju socjalistycznym. Nie będzie to już antysemityzm, choć i on tak „odrazu nie zniknie", lecz odczucie „inności" Żydów przez Polaków. Zrodzi to w najlepszym razie tolerancję, i Autor zapytuje, czy Bundowi wystarczy taki „tolerancyjny" stosunek kraju do Żydów? — Bundowi chyba wystarczy, masy zaś żydowskie pozycją wszędzie tylko tolerowanej mniejszości się nie zadowolą, i dlatego dążą do stworzenia większości w Palestynie. Z drugiej jednak strony obiektywne stwierdzenie niechęci nawet in spe do „inności" Żydów (pisał o niej przeszło 50 lat temu prekursor syjonizmu, Leo Pinsker) nie przemawia jeszcze za wnioskiem, że „większość Polaków wypowiedziałaby się za wyjazdem Żydów" z Polski. Żydzi nie mogą być przedmiotem — nawet w przenośni — ostracyzmu większości polskiej. Tu Autor socjalistyczny snać zapomniał, że socjalizm ma za zadanie wychować nowego człowieka, a nie godzić się ze starymi uprzedzeniami i naleciałościami.

Należałoby jeszcze w broszurze, przeznaczonej wszak na zbyt masowy (15 groszy egzemplarz!) ,podkreślić dobitniej, że emigracja żydowska może nastąpić tylko jako proces organiczny, długotrwały, a nie jako kataklizm, który nagle .wyzwoli Żydów .z Diaspory a Polskę uwolni od Żydów; .że uzasadnienie potrzeby emigracji nie może stać się bodźcem do propagandy antyżydowskiej, ani naruszać w niczym zasady równouprawnienia Żydów. Zresztą Autor daje to do zrozumienia, lubo w sposób pośredni:

—„Albowiem jest wręcz przeciwnie, niż twierdzi Bund. Hasło emigracji nie jest ani reakcyjne ,ani antysemickie. Reakcja, posiłkując się tym hasłem, uprawia demagogię. Rozwój emigracji zależy bowiem ściśle od rozwoju demokracji i socjalizmu. Reakcja, faszyzm endecki i hitlerowski, zdobywa się na propagandę antysemicką i pogromy Żydów, ale nie zdobędzie się na rozwikłanie sprawy żydowskiej ku pożytkowi ogólnemu, nie zdobędzie się na zorganizowanie emigracji żydowskiej. Poważną przeszkodą dla emigracji jest obecny kryzys kapitalizmu... Otóż polityczny ruch robotniczy (Międzynarodówka — przyp. mój) winien włączyć do swego programu sprawę emigracji żydowskiej, a pierwsze miejsce zajmie emigracja z Polski. I socjaliści polscy, prędzej czy później, staną na gruncie programu emigracyjnego. Im prędzej to nastąpi, tym skuteczniej wyrwie się reakcji jej broń demagogiczną".

Ze słów tych wynika, że Autor zdaje sobie sprawę, iż obecnie możliwości emigracyjne nie mogą być duże (kryzys — poważną przeszkodą); Autor odgranicza się od antysemitów, którzy z emigracji żydowskiej uczynili temat dla propagandy demagogicznej; Autor rozumie, że emigrację należy raczej organizować, .aniżeli o niej prawić. Międzynarodówka Socjalistyczna ma objąć swym programem całokształt .zagadnienia emigracyjnego, m. in. także żydowskiego — to ma być jej odpowiedź pozytywna na demagogię antysemicką reakcji, której nie można skutecznie zwalczyć samym tylko negowaniem sprawy żydowskiej. Komentowanie tych słów, jako próby przejęcia przez PPS haseł antysemickich, jako kapitulacji przed antysemityzmem, jako dywersji w obozie socjalistycznym (W. Alter) nosi wszystkie cechy złośliwości.

Aby złośliwość ta nie stała się racją, musiałaby PPS, jeśli istotnie pójdzie po drodze obranej przez J. M. B., zachować równowagę w dwutorowości rozwiązania sprawy żydowskiej, jak ją stale stara się zachować demokratyczny syjonizm. Jeden tor to równouprawnienie obywatelskie ludności żydowskiej w Polsce, uznanie jej przez Państwo za mniejszość narodową z autonomią kulturalną, zaniechanie polityki świadomego rugowania Żydów z życia gospodarczego, produktywizacja mas żydowskich w ramach możliwości ekonomicznych Państwa. Drugi tor to stały ruch emigracyjny do Palestyny celem stworzenia ojczyzny dla narodu żydowskiego i odpływu Żydów z tych krajów, w których same obiektywne warunki stwarzają potrzebę emigracji żydowskiej.

Bund neguje ten drugi tor. Rewizjoniści Żabotyńskiego (ewakuacja!) i Endo-sanacja negują tor pierwszy. I dlatego ani jedni, ani drudzy nie mają rozwiązania sprawy żydowskiej w Polsce. Tylko Demokracja polska i żydowska sprostają temu zadaniu, jeśli trzymać się będą równoległości obydwu wspomnianych torów. Póki nie będzie .w Polsce rzetelnego demokratyzmu, póty sprawa żydowska i antysemityzm muszą się ustawicznie zaogniać. Pierwsze więc zadanie to demokratyzm ten wywalczyć— zadanie pierwsze i naczelne. Walce znów o demokrację staje na przeszkodzie masowa psychoza antysemityzmu. Powstaje błędne koło: aby pokonać antysemityzm, musi zwyciężyć demokracja — aby zwyciężyła demokracja, musi się pokonać antysemityzm. Trzeba je w jakimś punkcie przerwać — w jakim? J. M. Borski ma słuszną rację w polemice z Bundem, ale błędnego koła nie można przerwać propagandą emigracji. Można je natomiast przerwać przez planowe, systematyczne przeciwdziałanie agitacji antysemickiej. Otworzy to drogę do demokracji, a tym samym do słusznego rozwiązania sprawy żydowskiej. Emigracji zaś propagować nie ma potrzeby: gdy znajdą się realne możliwości, wśród Żydów amatorów do wyjazdu nigdy nie zabraknie, a Polacy zawsze ich wypuszczą bez przygotowania propagandystycznego...

Broszura J M. B. nie obowiązuje PPS, zawiera bowiem osobiste li-tylko wynurzenia Autora. W sporze między Bundem a (poalej—) syjonizmem PPS tak rychło swej neutralności się nie wyrzeknie. Jeśli jednak obóz polskiego socjalizmu poważnie zajmie się sprawą żydowską, której waga w życiu publicznym Polski wzrasta z dnia na dzień, będzie zmuszony szukać drogi do kolaboracji z demokracją syjonistyczną, jako siłą społeczną i jako koncepcją rozwiązania sprawy żydowskiej.

WYDARZENIA I ODGŁOSY

Pozycja Leona Bluma

Przewodniczący radykalnej frakcji w izbie deputowanych adw. Campenchi w artykule swoim, drukowanym w „Marianne", dowodzi, że niebezpieczeństwo grozi rządowi Bluma nie ze strony parlamentu, lecz ze strony mas robotniczych.

„Oczywiście, dla robotników już wiele zrobiono i nie mało jeszcze należy uczynić. Jednakowoż, robotnicy francuscy, zazwyczaj tak bardzo pracowici i rozumni, w żaden sposób nie chcą zrozumieć, że najgorszy ich wróg to — niecierpliwość".

Psychologicznie tłumaczy to się następuco: robotnicy „upojeni zwycięstwem, uwierzyli, że mogą wszystko osiągnąć, czego tylko zapragną i to natychmiast. Rozpoczęły się często strajki, najczęściej z błahych przyczyn, okupacje fabryk, tak bardzo upokarzające dla właścicieli.

Na wyniki tego braku umiarkowania nie trzeba było długo czekać. Nikt chyba nie zaprzeczy, że właśnie ten brak umiarkowania skompromitował powodzenie pierwszej pożyczki, i że ciągła agitacja z towarzyszącym jej obniżaniem jakości i ilości pracy może skompromitować wystawę 1937 r."

Wyjście z sytuacji — jest jedno: „klasa robotnicza powinna opamiętać się, powinna uświadomić sobie ważność wprowadzonych już w życie reform socjalnych, i powinna obdarzyć Bluma takimże kredytem, jaki ofiarowywała innym, mniej się o nią troszczącym, niż Blum."

Stanley Baldwin

Powszechnie wiadomo, że premier angielski poda się do dymisji natychmiast po koronacji Jego Królewskiej Mości Jerzego VI.

3 sierpnia b. r. Baldwin skończy 70 lat, ale trzeba poczekać do r. 1938, aby świętować trzydziestolecie jego pracy politycznej. Do izby gmin wszedł za namową i dzięki poparciu Bonar Lawa, słynnego angielskiego męża stanu z okresu przedwojennego. Bonar Law nauczył go sztuki parlamentarnej a po dziewięcioletnim piastowaniu przezeń mandatu poselskiego, powierzył mu urząd sekretarza stanu w ministerstwie skarbu.

Stanley Baldwin, syn Alfreda Baldwina, założyciela firmy Baldwin's Ltd, właściciela kopalń węgla i hut żelaznych, nie wykazał się nigdy zdolnościami krasomówczymi, aczkolwiek jego wielbiciele przypisywali mu tę właściwość .

Zanim został wielkim mężem stanu, był wielkim przemysłowcem. W związku z tym ma on zwyczaj często powtarzać: nie spotkałem nigdy wielkiego przemysłowca, któryby był wielkim mówcą, ani też żadnego wielkiego mówcy któryby był wielkim przemysłowcem...

Ustalenie tego faktu będzie wielką przykrością dla wielu polityków.

Berlin a encyklika

Jedna z gazet paryskich drukuje informacje pewnego wybitnego Niemca-katolika o tym, w jaki sposób została rozpowszechniona w Niemczech encyklika papieska. Otóż, aczkolwiek ogłoszenie i opublikowanie encykliki otoczone było wielką tajemnicą, Gestapo dowiedziało się o tym, i w sobotę 20 marca przeprowadzono rewizję w gmachu katolickiej gazety „Germania" w drukarni której zazwyczaj odbija się wszystkie religijne wydawnictwa. Rewizję przeprowadzono bardzo skrupulatnie, nie pominięto jednego kącika. Zajrzano nawet do kieszeni współpracowników, i mimo to policja odeszła z niczym. Albowiem katolicy przedsięwzięli środki ostrożności. Encyklika drukowana była w maleńkim miasteczku prowincjonalnym w ilości kilku tysięcy egzemplarzy. Dla rozesłania jej zorganizowano całą armię katolików-motocyklistów, którzy jako turyści podróżowali po całych Niemczech, rozwożąc księżom pismo papieskie. Liczono początkowo, że encyklika, zgodnie z prawem kanonicznym, odczytana zostanie równocześnie we wszystkich kościołach. W ostatniej jednak chwili zaniechano tego, a to z tej przyczyny, że papież w ostrym tonie występuje przeciw władzy narodowo-socjalnej. Biskupi, więc, ogłosili ją sami osobiście we wszystkich 25 biskupstwach, w ten sposób odpowiedzialni za ten akt, który władza hitlerowska uważać może za ogłoszenie „świętej wojny", są najwyżsi dostojnicy kościoła katolickiego w Niemczech, tym samym niższe duchowieństwo uniknie prześladowań i przykrości.

Hitler i Ludendorf

Prasa zagraniczna poświęca wiele miejsca uroczystemu pogodzeniu się Hitlera z Ludendorfem. Jedni przypisują temu pogodzeniu się znaczenie czysto symboliczne, inni natomiast duże znaczenie polityczne. Dla obecnej Reichswehry, pisze „Echo de Paris", Ludendorf to człowiek z innego świata. Jego postępowanie w czasie wielkiej wojny było ogólnie potępiane. Właśnie Ludendorf był tym, który nalegał na aneksję Belgii, na prowadzenie wojny podwodnej, on to posłał Kiereńskiemu „w prezencie" Lenina i jego towarzyszy.

I ciekawa rzecz, że Führer wyciąga dłoń do swego dawnego przyjaciela właśnie w tej chwili, kiedy wydawałoby się, że rozumni ludzie z jego otoczenia zaczynają wywierać nań wpływ. W tym sensie powrót na arenę polityczną dawnego szefa sztabu generalnego ma znaczenie symboliczne. Przypomina ono nam wszystkim, że wokoło Hitlera krążą w dalszym ciągu irracjonalne siły.

„Intrasigeant" przeciwnie uważa, że powrót Ludendorfa do władzy może mieć znaczenie polityczne, ma to być odpowiedź Hitlera, dana papieżowi.

Ludendorf — to zawzięty wróg katolickiego kościoła. Poleca on Niemcowi czerpać wiarę z kultu starych, krwiożerczych bogów. Pogodziwszy się z tym apologetą neopoganizmu, natychmiast po opublikowaniu papieskiej encykliki przeciwko nazizmowi, Hitlerr dał tym samym odpowiedź Rzymowi.

Podróż Normana Davisa

Przyjazd do Londynu Normana Davisa, przyjaciela i bliskiego współpracownika Roosevelta, związany jest z projektem utworzenia ekonomicznego bloku „trzech demokracji" Anglii, Francji i Stanów Zjednoczonych. Wstępne rozmowy, jakie prowadził poseł amerykański w Paryżu z Blumem wykazały, że Francja gotowa jest przyjąć propozycję Roosevelta. Natomiast inaczej wygląda ta sprawaa w Anglii. Oto co pisze londyński korespondent „Paris—Soir":

Dla Anglii wprowadzenie w życie tego projektu związane jest z całym szeregiem trudności. Primo — ogólna zniżka ceł, przewidywana, w projekcie bloku, ułatwiłaby wwóz do WBrytanii towarów amerykańskich, i tym samym wywołałaby niezadowolenie dominiów. Secundo — przeciwni blokowi są przemysłowcy angielscy, którzy dopiero teraz zaczynają odbijać sobie straty poniesione w czasie kryzysu w 1931 roku.

Prasa angielska przytacza te same motywy, co francuski korespondent, lecz czyni to w sposób bardzo ostrożny, aby nie spalić za sobą mostów i nie, obrazić Ameryki. „Times" podkreśla konieczność ciągłego kontaktu ze Stanami Zjednoczonymi i współpracy dla ogólnej sprawy, nie należy jednak brać przy tym na siebie żadnych zobowiązań, które by były sprzeczne bądź to z angielskimi bądź to z amerykańskimi tradycjami .

„Daily Herald" przypomina, że dotychczas propozycje Roosevelta spotykały się w Anglii z chłodnym przyjęciem i że „nie należy powtórzyć podobnego głupstwa tym razem. Norman Davis odkrywa przed nami wielkie możliwości: trzeba z nich skorzystać."

Na uczelniach

Minister Oświaty rozwiązał szereg stowarzyszeń akademickich. Fakt ten łączą, rzecz oczywista, z awanturami na wyższych uczelniach. Wprawdzie rozwiązanie stowarzyszeń nie uniemożliwia powtórzenia ekscesów, tym nie mniej represja ta może się przyczynić do pohamowania zapału wojującego ONR'u.

Nie da się jednak tłumaczyć intencją zapewnienia uczelniom spokoju i bezpieczeństwa rozwiązania stowarzyszeń młodzieży socjalistycznej, demokrtycznej i żydowskiej. Ta młodzież ekscesów, burd i awantur nieurządzała — czym więc sobie zasłużyła na tak dotkliwą represję?

Toteż niektórzy słusznie twierdzą, że nie można rozpatrywać rozwiązania stowarzyszeń akademickich w oderwaniu od ogólnej polityki rządowej wobec zorganizowanego życia społeczno - politycznego. Jak wiadomo, władze rozwiązały szczególnie na prowincji szereg związków zawodowych. W tej interpretacji rozwiązanie lewicowych i żydowskich związków akademickich jest rzeczą naturalną, natomiast rozwiązanie „narodowych" stowarzyszeń nabiera cech raczej wyjątku, odchylenia od linii zasadniczej.

Sokołów Podlaski

„W dniu 22 ub. m. doszło w Sokołowie Podlaskim do rozruchów antyżydowskich. Zdemolowano sklepy żydowskie, wybito szyby w mieszkaniach żydowskich i kilkudziesięciu Żydów dotkliwie pobito. Przy tej sposobności bojówki endeckie próbowały też napadać na miejscowych robotników polskich, głównie dla tego, że się przeciwstawili niecnej akcji endeckiej."

Tak przedstawia przebieg zajść „Walka Ludu". Ale „Warszawski Dziennik Narodowy", który ponosi moralną odpowiedzialność za zajścia sokołowskie, za wszystkie wybite szyby, za wszystkei ofiary bandytyzmu, i za ten jeden zdemolowany stragan, zarzuca Żydom, że sami na siebie urządzili pogrom, i że „po zakończeniu akcji na kilku powracających do domu narodowców napadła banda Żydów i komunistów uzbrojonych w noże, kamienie, a nawet i rewolwery'.

Socjalistów, ludowców (młodzież z „Wici"), a nawet pro-rządową młodzież chłopską („Siew"), którzy przeciwstawili się chuligańskim wybrykom sokołowskich wyznawców „Warsz. Dziennika Narod.", ten organ pogromowy określa wspólnym mianem komunistów. Żydo-komuna sama urządza pogromy — oto do jakiego nonsensu się dochodzi, gdy się już wpadło w rutynę judzenia, podżegania, szczucia, podburzania, siania kłamstwa, nienawiści i hecy.

A może teoria auto-pogromów stała się dla „narodowych" bandytów pióra koniecznością w obliczu nędznych wyników „akcji", trwającej w Sokołowie przeszło tydzień bez przerwy. 1000 szyb musiało się wybić, kilkudziesięciu Żydów zranić, by zniszczyć jeden stragan żydowski — jeszcze nie zdobyć go dla siebie, a tylko zniszczyć kilkunasto- lub kilkudziesięcio-złotowy „majątek" sokołowskiej Żydówki. Może jakiegoś endeckiego czytelnika przy przeczytaniu relacji PAT'a o „plonie" akcji odżydzenia Sokołowa nawiedzi chwila przebłysku świadomości i zapyta siebie: czy warto?... Na ten wypadek niech ma komentarz pogromowego central-organu, że to Żydzi przy pomocy polskich „komunistów" (PPS, Wici, Siew) sami siebie tak „nieudolnie" pogromują, by cały ten szlachetny fach zdyskredytować. Wtedy czytelnik endecki odetchnie z ulgą i zrozumie, że chwila jego zwątpienia w skuteczność metody Przytyka i Sokołowa Podl. była tylko wynikiem żydowskiego szwindlu i postępu...

Szekel

Wraz z proklamowaniem przez Egzekutywę Syjonistyczną kampanii szeklowej w Polsce i na całym świecie — wkroczyliśmy w pierwszą fazę akcji wyborczej na XX Kongres Syjonistyczny. Ruch syjonistyczny i jego światowa organizacja oparte są na szerokich podstawach demokratycznych, której najpiękniejszym symbolem jest **szekel** — deklaracja i legitymacja syjonistyczna. Albowiem **szekel** jest właśnie legitymacją, upoważniającą jej pełnoletniego posiadacza do wybierania delegatów do najwyższej instancji ustawodawczej naszego ruchu, do syjonistycznego parlamentu — Kongresu. Szekel zaś może uzyskać każdy Żyd, uznający Program Bazylejski(„Syjonizm dąży do stworzenia publiczno-prawnie zagwarantowanej siedziby dla narodu żydowskiego w Palestynie") oraz podporządkujący się dyscyplinie obranych władz syjonistycznych.

Szekel — jest zarazem formą politycznej deklaracji, umożliwiającej najszerszym masom żydowskim deklarowanie się za ideą odbudowy żydowskiej Palestyny oraz solidaryzowanie się z polityką syjonistycznych instacji. W obecnej, przełomowej fazie zmagań narodu żydowskiego o prawo do własnej Ojczyzny — ten właśnie moment będzie miał decydujące znaczenie w kampanii szeklowej, u progu której stoimy.

Kampania ta winna spontanicznie przerodzić się w wielką akcję polityczną najszerszych mas naszego narodu, wszędzie, gdzie one przebywają. Setki i setki tysięcy rozpowszechnionych szekli będą najpotężniejszą demonstracją naszej narodowej woli. Będą one najgodniejszą odpowiedzią na zakusy naszych przeciwników, na terror arabski, na plany ograniczenia lub wstrzymania procesu odbudowy naszego kraju, na zakusy w kierunku odebrania nam jedynej szansy ludzkiego i narodowego odrodzenia!

Żydzi z Warszawy czy Łodzi, Lwowa czy Wilna, Żydzi z Przytyka czy z Sokołowa Podlaskiego, Żydzi w Polsce i na całym świecie winni dobrze pamiętać, że każdy nabyty przez nich **szekel** jest skrupulatnie rejestrowany nie tylko w syjonistycznych sekretariatach, ale także w biurach londyńskiego Ministerstwa Kolonii, w pałacu Wysokiego Komisarza w Jerozolimie oraz w kancelarii jerozoilimskiego Muftiego.

Apolinary Hartglas

Dr. Salomon Weinzieher

(nie wygłoszona mowa bankietowa)

Że ten czas tak szybko leci!... Któżby pomyślał, że dr. Weizieher kończy już lat... Nie, lepiej nie mówmy o latach nawet u mężczyzn... Dość: że dr. Weinzieher obchodzi obecnie już swój czterdziestoletni jubileusz pracy społecznej.

Dr. Weinzieher, — jeszcze taki rzeźki, taki żywy, taki młody, mimo nie dawno szczęśliwie przebytej cieżkiej choroby! Ktoby, spojrzawszy na niego, pomyślał — o ile o tym nie wie — że ma on już za sobą czterdzieści lat ciężkiej, bezinteresownej harówki społecznej prowincjonalnej , a w tym 10 lat pracy sejmowej? Ktoby. widząc go, jak się wciąż krząta, wciąż jest zajęty, jak herkulesowym wysiłkiem dźwiga, a raczej, jak Atlas, na plecach swoich trzyma szpital żydowski w Sosnowcu, jak się żywo interesuje każdą rzeczą — ktoby pomyślał, że ten człowiek już 40 lat pracuje, i że go ta praca jeszcze do szczętu nie przeżarła, nie położyła?

Kto w Będzinie nie zna doktora Weinziehera? Kto nie wie, że jak trzeba było coś, jak trzeba było kogoś, — to się szło do doktora Weinziehera? Trzeba było odpowiedniego Żyda w Radzie Miejskiej — brało się doktora Weinziehera. Trzeba było w godne ręce oddać zarząd Gminy Żydowskiej — głosowano na doktora Weinziehera. Tworzyło się radę Narodową Żydowską, — kto był najodpowiedniejszym kandydatem z Zagłębia? Doktór Weinzieher. A trzeba było pierwszą w dziejach odrodzonej Polski bombę podrzucić Żydowi, — kogo tym wyróżnieniem uczczono? Znowu doktora Weinziehera.

No, a gdy wybierano do Sejmu, — na kogo Żydzi w Zagłębiu głosowali? Naturalnie, na doktora Weinziehera.

A teraz nie ujrzysz już doktora Weinziehera ani w Sejmie, ani w Radzie Miejskiej, ani w Gminie Żydowskiej. Tylko szpital żydowski, ukochane jego dziecię go trzyma. Bo od czasu, gdy przestano u nas ludzi wybierać za to, że są najgodniejsi, a poczęto ich nominować za to, że są... najłagodniejsi — omijają doktora Weinziehera zaszczyty. Za mało jest łagodny i za mało... dogodny. Więc nie „wybrano" go do Sejmu, bo nie był przez czynniki miaro — i — chlebodajne pasowany, ani wskazany, vel nominowany na kandydata. Nie nominowano go, względnie nie polecono z odpowiednich sfer ani do Rady Miejskej, ani do władz Gminy Żydowskiej. Ale doktór Weinzieher nie płacze i nie narzeka. Wesolutki i pogodny krząta się dookoła swego szpitala, a w wolnych od zajęć chwilach tonie z rozkoszą w stosach swoich książek i pism, zalegających wszystkie stoły, biurka, krzesła i otomany jego gabinetu. Do nominacji, zaleceń i poparć doktór Weinzieher jakoś nie ma nabożeństwa i nie ubiega się za nimi.

A przy tym wszystkim, gdyby w istocie kryterium nominacyjnym i zaleceniowym był tylko kryształowy chrakter, zdolności, pracowitość i... bezpartyjność, to trudnoby o lepszego kandydata nad doktora Weinziehera, bo wszystkie te zalety posiada on w najwyższym stopniu, zwłaszcza bezpartyjność. Ale widocznie nawet dla Bezpartyjnego Bloku był doktór Weinzieher zbyt szczerze bezpartyjnym, bo ani on się tam nie kwapił ani oni się do niego nie kwapili. Bo doktór Weinzieher nigdy nie pojmował bezpartyjności w sensie wleczenia się w ogonie każdej partii, która jest chwilowo u władzy. Nigdy nie identyfikował bezpartyjności z bezbarwnością, nigdy nie pojmował braku ściśle sformułowanego i ograniczonego partyjnego creda z brakiem kośćca pacierzowego i z brakiem godności ludzkiej i żydowskiej. I dlatego omijały go łaski, których zrestą sobie nie życzył.

Doktór Weinzieher jest i był zawsze jednym z nielicznych szczerze bezpartyjnych, ale jednocześnie jest szczerym zwolennikiem demokratyzmu, szczerej wolności, szczerego postępu, szczerej sprawiedliwości, a przy tym wszystkim jest szczerym i dumnym Żydem. I dla tego doktór Weinzieher był zawsze w dziedzinie swoich przekonań społecznych zawsze bardzo zbliżony do socjalizmu, — w dziedzinie swoich sentymentów państwowo-polit. — szczerym patriota polskim a w dziedzinie uczuć narodowych — szczerym sympatykiem syjonizmu. Dlatego też chociaż doktór Weinzieher nie należał do P. P. Su. — cieszył się zaufaniem miejscowych P. P. S-owców, a chociaż nigdy nie był członkiem Organizacji Syjonistycznej — zawsze był przez tę ostatnią traktowany nieomal jako zorganizowany syjonista, na którym można polegać, do którego można się zwrócić w każdej okazji i w każdej opresji o pomoc, i który nigdy nie odmówi, nigdy nie zawiedzie.

I — takie dziwne zjawisko: gdy niektórzy nasi syjoniści niemal ze skóry wyłażą obecnie, by pomniejszyć rolę i powagę syjonizmu, opierając go i roztapiając wśród tak zwanych bezpartyjnych, a w istocie tylko bezideowych łapaczy stołków, mandatów i godności z cudzej woli i cudzego nakazu, — doktór Weinzieher, ten prawdziwy, szczery bezpartyjny, ale o wyraźnym szlachetnym obliczu, śpieszył swoją współpracą i swoim autorytetem wspierać niezależny syjonizm. Bo doktór Weinzieher zawsze był sam niezależnym, czuł i rozumiał każdą cząstkę swej duszy dostojeństwo niezależności, i lgnął tam, gdzie widział i wyczuwał niezależność.

Zanim jeszcze poznałem doktora Weinziehera — a poznałem go dopiero w 1919r. już w Sejmie Ustawodawczym — obijało mi się już o uszy jego nazwisko. Gdym był jeszcze na drugim krańcu kongresówki, na Podlasiu, jeszcze w roku 1906 i 1907 nazwisko jego z Zagłębia dochodziło do mnie, jako synonim radykalnego działacza żydowskiego o zewnętrznej fizjognomji asymilatora, ale o nastawieniu narodowym. A następnie, w 13 lat prawie potem, zetknąłem się z nim już przy pracy, już jako z Żydem narodowym, wyzbywającym się resztek naleciałości asymilatorskich, i pracowaliśmy razem przez lat 10 na terenie Sejmu. I dobry był to towarzysz pracy. Zawsze chętny, zawsze ochoczy, zawsze gotów do spełnienia powierzonych funkcji, karny, oddany. Zainteresowania nasze leżały w płaszczyznach rozmaitych. Gdy mnie interesowały zagadnienia ogólno - polityczne i prawne, sfera zainteresowań doktora Weinziehera ściągała się raczej do zagadnień budżetowo-finansowych i gospodarczych. Toteż pracował on w komisji Budżetowej i był referentem budżetowym Wolnego Zrzeszenia Posłów Żydowskich w Sejmie Ustawodawczym i przemawiał na plenum w naszym imieniu. Ale niemało pracy i nerwów zużył doktór Weinzieher i w sprawie uchylenia podwójnych kosztów kuracyjnych dla Żydów, i w sprawie ochrony szpitalnictwa żydowskiego, i w sprawie obrony praw ludności żydowskiej w ogóle... I za to uczęstowano go bombą, która zdemolowała jego mieszkanie w Będzinie cudem nie wyrządziwszy krzywdy mu osobiście.

Gdy zarysował się blok mniejszości narodowych, doktór Weinzieher narazie odnosił się doń trochę podejrzliwie, zwłaszcza do niemieckich kontrahentów bloku, — ale z chwilą, gdy Blok uznał za swą podstawę państwowość polską, uprzedzenia jego znikły i stał się szczerym bojownikiem zasady solidarności grup mniejszościowych. Gdy powstała kwestia ugody Grabskiego — odniósł się do niej krytycznie, mimo, że reminiscencje asymilatorskie raczej pozwalały spodziewać się czegoś odmiennego. Godność narodową żydowską patriotyzm państwowy doktora Weinziehera raziła polityka, oparta na traktowaniu obywateli nie jako członków Państwa, lecz jako strony przeciwnej, kontrahentów. A gdy przewrót majowy stał się faktem, doktór Weinzieher ze szczerą radością powitał rzucone przez Marszałka Piłsudskiego hasło powszechności państwowości Polskiej i współodpowiedzialności wszystkich obywateli za losy Państwa. Rozczarowało go później, jak zresztą i innych wypaczenie tej idei w praktycznym życiu przez jej wykonawców, które w konsekwencji musiało doprowadzić do triumfu ideologii Dmowskiego.

Nie zrobił kariery na swych przekonaniach i swej służbie publicznej doktór Weinzieher — o, nie! Raczej co miał, to stracił, swej lekarskiej praktyki zaniedbał, potem musiał „na starość" rozpoczynać wszystko od początku.

Ale nie jest stary jeszcze doktór Weinzieher. I życzę mu z całego serca, by jeszcze powrócił do szerszej pracy społecznej, i wierzę, że go jeszcze przy niej ujrzymy w ciągu drugich lat czterdziestu, przy pełnym zdrowiu i rześkości, pod czułą opieką jego wiecznej towarzyszki życia, gromiącej go dobrotliwie za.. nieprzestrzeganie diety.

Leopold Halpern

ŁÒDŻ - JAKO POLITYCZNY SYMBOL

Od wielu lat Łódź stała się wiernym symbolem ewolucji wewnętrzno-politycznej sytuacji w Polsce. Prawdziwy symbol oddaje na ograniczonym odcinku to, co jest powszechne; dlatego, pozostając w zgodzie z rzeczywistym obliczem stosunków oraz przebiegiem wydarzeń, symbol przedstawia je nam w rysach bardziej wyrazistych, w barwach nieco jaskrawszych.

Łódź „polityczna" odpowiada w całej pełni takim właśnie warunkom. Z wyjątkiem ludności wiejskiej, której w Łodzi oczywiście nie ma, wszystkie warstwy społeczne naszego państwa są w niej silnie reprezentowane w szerokiej skali, ciągnącej się od proletariatu fabrycznego, poprzez chałupników, rzemieślników, drobnomieszczańskie kupiectwo aż do reprezentantów wielkiego handlu i przemysłu. Także pod względem struktury narodowościowej, Łódź, w której murach przebywają aż dwie liczne grupy mniejszościowe (Żydzi i Niemcy), — jest symboliczna. Do tego wszystkiego należy dodać okoliczność najbardziej ważką: dzięki przemysłowo-handlowemu obliczu gospodarczemu miasta, dzięki silnej dyferencjacji socjalnej i narodowościowej — łodzianie są lepiej uświadomieni politycznie w każdym kierunku od mieszkańców wielu miast i okręgów naszego kraju. Toteż nie raz wewnętrzno - polityczne zjawiska występują w Łodzi *wcześniej, silniej i bardziej wyraziście,* niż w znacznej części reszty kraju.

Tylko było prawie zawsze. Jeszcze przed przewrotem majowym Łódź pierwsza wyzwoliła się z pod hegemonii „Chieny". Sam zaś zwycięski marsz Piłsudskiego na Warszawę był w Łodzi zrozumiany znacznie głębiej niż w niejednym innym ośrodku czy środowisku. Łódź robotnicza, postępowa i wielonarodowościowa widziała w przewrocie majowym prawdziwą polskę rewolucyjną, której pierwszym następstwem będą progresywne reformy socjalne i narodowościowe. Nawet sama strona zewnętrzna pamiętnych dni maja 1926 r. wyglądała w Łodzi inaczej niż gdzieindziej: w godzinach rannych przez ulice Łodzi symbolicznie przedefilowały wierne Marszałkowi pułki miejscowego garnizonu — ale wieczorem demonstracja ta została, jakby uzupełniona potężnym pochodem robotniczym, który na parę godzin opanował ul. Piotrkowską — łódzką City.

Oczekując właśnie takich następstw przewrotu, Łódź najwcześniej rozczarowała się do *systemu,* który po nim nastąpił. Dlatego już przy wyborach 1928 r. B. B. W. R., jako społeczny rzecznik nowego systemu, poniósł w Łodzi druzgocącą klęskę. Dążenie mas łódzkich do reform socjalnych i narodowościowych, niezaspokojone przez B.B., przejawiło się w zwycięstwie wyborczym P. P. S. oraz Bloku Mniejszości Narodowych. Albowiem także na odcinku mniejszościowym Łódź najwcześniej oceniła istotny charakter „nowej" polityki narodowościowej rządów pomajowych, a żydowskie czy niemieckie ekspozytury B.B. cieszyły się tu znacznie mniejszym „powodzeniem" niż w innych częściach kraju.

Jedynie listopadowe wybory 1930 r., przeprowadzone po znanych wydarzeniach i wyjątkowych warunkach przyniosły po raz pierwszy i — przynajmniej dotąd — po raz ostatni względny sukces sanacji w Łodzi. — Na odcinku mniejszościowym Łódź wyróżniła się także w czasie tych wyborów. Od r. 1922. była ona właściwie tym okręg. wyborczym, w którym idea Bloku Mniejszości Narodowych realizowała się w sposób najbardziej pełny i bezpośredni, — w Łodzi skupiły się na jednej wspólnej liście głosy dwóch narodowości (czego n. p. nie było w Małopolsce Wsch.). Otóż Łódź żydowska i niemiecka szły razem jeszcze nawet w r. 1930, gdy już nie można było stworzyć Bloku Mniejszości w całym *kraju, a jedynie w Łodzi zawarto lokalne* porozumienie wyborcze żydowsko-niemieckie.

Także prądy reakcyjne i faszystowskie, które po r. 1933 spotęgowały się w całej Europie, najwcześniej bodaj w całej Polsce dotarły do Łodzi. W r. 1934 Łódź stała się ośrodkiem bojowym wszystkich polskich i niemieckich naśladownictw nacjonal-socjalizmu, a na ulicach jej pojawiły się różne „błyskawice", malinowe i brunatne koszule oraz nieodzowne „akcesoria" antyżydowskie, które zwykle towarzyszą modzie na kolorowe koszule. Wzrosło też bardzo Stronnictwo Narodowe (dotąd w Łodzi prawie że nieistniejące), czego pierwszym objawem były chociażby zajścia przed łódzką katedrą 3 maja 1934 r.

Wybory samorządowe w maju 1934 r. i ich sensacyjne rezultaty uczyniły Łódź ośrodkiem politycznego zainteresowania całego kraju, a pod wieloma względami mogły być doskonałą poglądową lekcją dla czynników rządzących. Przede wszystkim wykazały, że żadne, choćby najbardziej komplikujące i gmatwające zmiany ordynacji wyborczej nie potrafią zmienić, ani nawet zatuszować prawdziwej roli wyborców. „Reformy" te nie tylko nie uratowały łódzkiej sanacji, ale spotęgowały jeszcze rozmiary niebywałego zwycięstwa endecji. Jedynie na odcinku mniejszościowym ordynacja wyborcza spełniła nadzieje swych autorów: sztuczny podział miasta na samodzielne okręgi wyborcze doprowadził do zdziesiątkowania reprezentacji żydowskiej oraz całkowitego zmarnowania blisko 20 tysięcy głosów niemieckich.

Samo zaś zwycięstwo „narodowców' przyszło może nie tyle, jako skutek ich siły, ile raczej jako rezultat słabości przeciwnika. Albowiem przeciwnikiem tym był w Łodzi B. B. W. R., organicznie nie zdolny do dotrzymania pola partiom opozycyjnym ilekroć rozgrywka odbywa się w względnie normalnych warunkach. Gdyby głównym przeciwnikiem endecji w r. 1934 była, jak za dawnych lat, P.P.S. — rezultaty wyborów wypadłyby może inaczej. Ale P. P. S. przeżywała wtedy okres największego osłabienia w wyniku skoncentrowanego ataku sanacji na jej pozycje, prowadzonego systematycznie jeszcze od 1929 r. Tak oto sanacja własnymi rękoma przygotowała zwycięstwo endecji i własną klęskę...

Najdobitniej jednak Łódź zademonstrowała, że jest symbolem wewnętrzno-politycznym w kraju — w czasie wrześniowych wyborów 1935 r. i ich bojkotu. Frekwencja wszędzie była minimalna, ale Łódź wyprzedziła tym razem cały kraj: nie tylko bowiem liczba głosów oddana na łódzkich kandydatów była rekordowa (oczywiście in minus). ale w Łodzi zdarzyła się rzecz, niespotykana w żadnym innym okręgu: oto dwa mandaty poselskie musiały pozostać nieobsadzone. zabrakło bowiem nawet ustawowego minimum... 10,000 głosów! W Łodzi bowiem bojkotowali wybory wszyscy: P. P. S. i socjaliści mniejszościowi, radykalna lewica, Stronnictwo Narodowe, syjoniści i część Niemców. Któż miał więc głosować? B. B. i chasydzi Minzberga?

Wreszcie rok 1936 i wrześniowe wybory samorządowe. Powrotna fala demokracji, pędząca z Zachodu, znów najwcześniej w całej Polsce dotarła do Łodzi. Albowiem w Łodzi, na długo przed uchwałami centralnych instytucji różnych partii, powstał spontanicznie lokalny front całej lewicy i demokratycznego mieszczaństwa żydowskiego. Jego przeciwnikiem był endecko-hitlerowski front „narodowy". Sanacja od samego początku nie wchodziła poważnie w rachubę.

Także władze administracyjne zachowały całkowitą bezstronność, zapewniły swobodę akcji i agitacji wyborczej i — co najważniejsza — nie występowały tym razem, jako partner wyborczy. Mówiono, że Łódź ma spełnić rolę politycznego barometru dla czynników rządzących, łączono to z pracami przygotowawczymi nowego obozu. I rzeczywiście: Łódź okazała się czułym barometrem, którego wskazówka wyraźnie przechyliła się na lewo. Cóż, kiedy obserwatorzy spojrzeli na barometr, wyczytali, że idzie na dobrą pogodę, a na ulicę wyszli w kaloszach i z parasolem.

Na żydowskim odcinku politycznym Łódź znowu stała się wzorem. Kiedy w Warszawie toczyły się jeszcze prasowe dyskusje na temat konieczności wskrzeszenia naszej aktywnej orientacji na demokrację polską — Żydzi łódzcy spontanicznie poparli P. P. S.. Radni żydowscy (nie tylko bundowscy i syjonistyczni, ale także folkistyczni i agudowscy) głosowali na Barlickiego i socjalistycznych wice-prezydentów.

W ciągu kilku miesięcy, sala gimnazjalna przy ul. Pomorskiej, w której odbywała posiedzenia łódzka Rada Miejska, stała się jakby miniaturą parlamentu polskiego.

W przeciwieństwie do monopartyjnego parlamentu na ul. Wiejskej, łódzki parlament miejski na ul. Pomorskiej reprezentował wszystkie czynniki społeczne i narodowościowe, które zdobyły reprezentację w swobodnej walce wyborczej. I znów Łódź stała się symbolem paradoksalnej sytuacji wewnętrzno-politycznej państwa: wśród 70 radnych nie było ani jednego wybrańca sanacji, ale temu opozycyjnemu zgromadzeniu przewodniczył z urzędu komisaryczny prezydent — sanator.

Ostatnie perypetie polityczne Łodzi — są one na prawdę wysoce symboliczne — tkwią jeszcze żywo w pamięci ogółu. Wszystkie, prócz endecji, ugrupowania radzieckie dwukrotnie obrały prezydentem Łodzi *Norberta Barlickiego,* zasłużonego przywódcę P. P. S., b. ministra i b. posła do wszystkich Sejmów.

Minister Spraw Wewnętrznych wyboru tego nie zatwierdził. Większość socjalistyczna, nie chcąc by paradoksalny i niezdrowy kontrast pomiędzy obliczem politycznym sali obrad a stołu prezydialnego trwał nadal i prawdopodobnie permanentnie, chwyciła się jednego, w tej sytuacji możlwego, środka parlamentarnego: odmówiła uchwalenia budżetu. Odpowiedzią Ministra Spraw Wewnętrznych było — rozwiązanie Rady Miejskiej.

Ale parlamentarny protest socjalistycznej większości podany jest tylko, jako *jeden z motywów* tego aktu — dwa inne całkowicie obciążają konto endecji: uniemożliwienie uchwalenia zaciągnięcia pożyczki na pilne sezonowe roboty inwestycyjne przez dekompletowanie kwalifikowanego kworum oraz utrudnienie normalnej pracy Rady przez urządzanie nieustannych burd. Natomiast krok P. P. S. był tylko *skutkiem* niezatwierdzenia Barlickiego. Tak oto dochodzimy do ciekawych i znów symbolicznych wniosków: *w sprawie łódzkiej czynniki rządzące i endecja wzajemnie sobie pomagały w dążeniu do niedopuszczenia objęcia władzy przez socjalistyczny magistrat.* Znowu właśnie w Łodzi po raz pierwszy w kraju — ale signum temporis.

Co będzie dalej?

Co wypełni atmosferę Łodzi: dym fabryczny czy ozon?...

Łódź, w kwietniu 1937 r.

I. Ronkin

„Być albo nie być" narodu żydowskiego

w świetle nowej literatury hebrajskiej

W Średniowieczu byt narodowy żydostwa nie był problematyczny. Żydzi i nie-Żydzi zgodni byli w swych poglądach na jego przyszłość. Problematyka żydowska powstała dopiero w nowszych czasach, kiedy to cała narodowa egzystencja żydostwa znalazła się pod wielkim znakiem zapytania. Nad całym życiem naszym zawisła groza historycznego fatum: czy rozwój obiektywny prowadzi do utrzymania czy też do zagłady narodu żydowskiego?

Literatura hebrajska uwieczniła cierpienia myślącego Żyda z ostatnich dziesiątków ubiegłego stulecia. Maluje jego walkę o własną świadomość narodową, jego nadzieję i zwątpienia w czasach, gdy droga Żyda narodowego była jeszcze ciemna, a horyzont syjonistyczny mocno zamglony. Literatura ta opisuje cierniową drogę młodego pokolenia żydowskiego aż do chwili, gdy dotarło ono do pewnego brzegu, który dziś jest nam tak drogi i bliski.

Szczególna struktura ekonomiczna narodu żydowskiego sprawia, że przeobrażenia społeczne i gospodarcze niezwykle szybko i dotkliwie odbijają się na jego życiu. Za czasów *Mendele Mocher Sfarim* — dziadka nowej żydowskiej i hebrajskiej literatury — stało żydostwo zaledwie u progu nowoczesnej ewolucji. Nie rozpoczęła się jeszcze wówczas kapitalizacja Rosji. Życie żydowskie stanowiło wtedy jednolitą, skostniałą formację. Dyferencjacja socjalna była jeszcze słaba i nikła. Na pierwszym planie stała sprawa wspólnoty losu narodu i jego jedności. Antagonizm między starym a młodym pokoleniem był nieznaczny. Jednostka nie odbiegała daleko od kolektywu a młode pokolenie wrastało organicznie w stary, zmurszały świat. Specjalnej problematyki młodzieży żydowskiej nie znano jeszcze w owych czasach. Dlatego pisał Mendele Mocher Sfarim o „Ojcach", a nie o „synach".

W 80-tych i 90-tych latach ubiegłego stulecia wypadki dziejowe wstrząsnęły życiem żydowskim zarówno w dziedzinie duchowej jak i ekonomicznej. Nowe ośrodki komunikacji, unowocześnienie handlu i kapitalizacja ziemi podważyły podstawy starego życia żydowskiego. Na skutek tego rozwoju pogłębiała się co raz bardziej socjalna i ideologiczna dyferencjacja.

Ewolucja powyższa rozmaicie wpływała na poszczególne warstwy narodu żydowskiego. Starsze pokolenie poszło dalej swą utartą drogą. Powstający proletariat i półproletariat żydowski dość szybko przystosował się do nowych warunków. Nie był on silnie związany z żydowską kulturą narodową, nadto pragnął uciec z ghetta, by rozpłynąć się w wielkiej masie międzynarodowego proletariatu, — dlatego też poszedł po linii najmniejszego oporu. „Bund" określił kulturę narodową jako reakcyjną i proklamował swą neutralność w walce między asymilacją a żydostwem narodowym.

Młode pokolenie żydowskiego drobnomieszczaństwa znalazło się naskutek nowoczesnej ewolucji w nader ciężkim położeniu. Nie mogło ono kontynuować w nowych warunkach dotychczasowej drogi życia. Nie chciało również — i nie mogło — się asymilować. Czuło się powołane do głoszenia kultury narodowej, z którą za mocno było związane, aby ją tak łatwo opuścić. Haskala właśnie w owym czasie zawiodła. Duch nowej epoki, za którym pionierzy oświecenia — maskilim — tak bardzo tęsknili, wreszcie pojawił się; okazał się jednak silną burzą, która o mało nie porwała i nie rozniosła namiotów Jakóba. Była nią asymilacja. Bożyszcza Haskali leżały zburzone w pyle.

A co teraz?

Przed młodym pokoleniem asymilujący świat, który połknąć chciał całe żydostwo a za nim — odstraszające, beznadziejne życie ojców. Nachman ben Haraw — główna postać w nowelach młodozmarłego pisarza, *Feuerberga* — jest przedstawicielem ówczesnej epoki. Nachman ben Haraw nie może i nie chce nagiąć się do nowych form życiowych, z drugiej strony nie może sobie znaleźć miejsca w starym, skostniałym świecie. Dręczy go niepokojące pytanie. Czy kultura, która przetrwała przez tysiąclecia, która zmogła stosy i płomienie inkwizycji, — ma teraz zginąć? Nachman nie może się z tym pogodzić, broni się i odczuwa w sercu gorzki ból. Jego pokolenie nazwało ten ból *bólem narodowym.*

W jednej ze swych nowel kreśli Feuerberg tragedię tej epoki przejściowej. Opowiada on: Biednemu Żydowi, który pędził nędzny żywot pachciarza na dworze magnata polskiego, — urodziło się dziecko. Zaproszono wielkiego cadyka, aby uchronił duszę młodego Żyda przed złymi duchami, które nań czyhały ze strony magnata. Cadyk zakreślił dokoła kołyski dziecka wielkie koło, którego nie wolno było przekroczyć obcemu duchowi. Przez całą noc miało dziesięciu Żydów wraz z cadykiem wznosić modły, aby odstraszyć złego ducha. I w nocy rozpoczęła się walka między dziesięciu Żydami a obcym widmem. W dali słychać było czarowną melodię. Przenikała ona poprzez drzwi i okna, chciała porwać obecnych i odwieść ich od modlitwy. Zamknięci w kole Żydzi słuchać nie chcieli melodii i starali się modlitwami swymi ją zagłuszyć. Pomni byli słów cadyka, że melodia porwać chce nowonarodzone dziecko, gdy przedostanie się do zaczarowanego koła. Co raz czystsze stawały się jednak tony pieśni, co raz bliższe. I nagle mocna ręka zastukała do drzwi: „Moszku, otwieraj, otwieraj drzwi!" I Moszek zapomniał, że cadyk zabronił mu mówić i odrzekł: „Tak, otwieram". „Biada mi, biada!" — zawołał wnet, bo kocur wskoczył przez drzwi przekroczył koło i porwał dziecię z kołyski.

Sens tej symbolicznej noweli jest jasny. Naród żydowski walczy ostatkiem swych sił o duszę swej młodzieży. Zaczarowane koło — to mur tradycji i kultury żydowskiej. Melodia wyobraża nową, obcą kulturę. W tłumaczeniu na język dziejowego materializmu sens jej jest jeszcze głębszy. Przez setki lat otoczone było żydostwo kołem — chodzi tu o specyficzną strukturę ekonomiczną żydostwa w czasach feudalnych. Wtedy przyszła nowa gospodarka handlowo-towarowa i pozbawiła Żydów monopolistycznego stanowiska. Tajemnicze koło — uprzywilejowane stanowisko Żydów — przekroczone zostało przez obcy żywioł. Dalsza narodowa egzystencja żydostwa jest w każdej epoce zawisła od ogólnych czynników historyczno-ekonomicznych.

Im bardziej nowe życie podważało stare mury, tym większy i głębszy stawał się ból narodowy. *Micha Josef Berdyczewski,* jeden z najznakomitszych przedstawicieli omawianej epoki, powiedział: „Niezgłębiony ból leżał od dni wielu u mego okna. Siedzę w swym pokoiku przy stole i wchłaniam w siebie płacz narodu żydowskiego we wszystkich czasach. Przychodzą wszyscy, starzy i młodzi, i przewijają się przed moimi oczyma. Zamykam oczy, ale wciąż ich widzę. Oblicza ich opowiadają mi rzeczy, o których nigdy nie słyszałem, a w oczach ich widziałem to, czego dotychczas jeszcze nie znałem. Ponad nimi szybuje ciemny ból, który przenika do korzeni mej duszy. Nie mogę dłużej znosić tego bólu."

Gdy pokolenie Haskali było w ogniu walki, gdy bez pardonu przeciwstawiało się staremu życiu, klerykalizmowi i konserwatyzmowi, gdy walczyło o reformy religijne, o modernizację i sekularyzację życia żydowskiego, — wówczas nie mogło naruszać istoty życia żydowskiego.

Walczyć! Ale przeciw komu? Przeciw staremu pokoleniu, przeciw skostnieniu dogmatów religijnych, przeciw starej władzy religii? Nowy rozwój poczynił już głębokie rysy w jej murach i wstrząsnął jej posadami. A w tym dogorywającym życiu tkwi wiele wartości pozytywnych, które zagrażają nowym formom.

I tak znalazło się to pokolenie przejściowe w tragicznej sytuacji. Walczyć wewnątrz „obozu" jak Haskala — nie mogło. A znowu stanąć poza „obozem", odrzucić całe brzemię dziedzictwa (sewel jerusza), pozostawić cały cierpiący kolektyw i wybrać łatwą drogę asymilacji — serce krwawiło na samą myśl o tym.

Epoka Haskali miała swój ściśle określony program (oświecenie, zbieranie dzieł naukowych, reformy religijne), który opierał się na naiwnej wierze w ducha nowej epoki (czytaj epoki kapitalistycznej). Program ten obiecywał rozwiązanie wszelkich problematów z chwilą, gdy tylko zakończy się walka z wewnętrznymi wrogami oświecenia (Morde or).

„Hakicu ami, hen gas halail" (obudź się, mój narodzie, minęła noc) — wołał *Gordon,* pionier Haskali. Wiara w ducha nowej epoki była wielka.

Pokolenie przejściowe widziało, jak wiara ta rozpada się w pył. Gorzko mu smakowały owoce „nowych czasów".

Poczynało rozumieć, że główna wina leży nie po stronie wewnętrznego przeciwnika, lecz nie żydowskiego czynnika, któremu na imię: panująca większość.

Kiełkować też poczęła świadomość, że stary świat żydowski nie zawsze był zgniły.

Epoka Haskali nie ujmowała historii żydowskiej ani z punktu widzenia historycznego, ani też narodowego, dlatego jej walka była na całej linii łatwa. Szła po równej drodze i szła zato pewnie.

Nowe pokolenie zaczęło dzieje nasze pojmować dialektycznie (oczywiście w sensie idealistycznym). Obserwowało formy życia żydowskiego w wartkim jego toku i chciało dalej snuć jego nić, nie wiedziało jednak — jak. Nie miało utartej linii postępowania, każdy jego krok pełen był sprzeczności, a cała droga pełna zygzaków. Naskutek tej oto walki o krystalizację narodowej perspektywy doszło ono do bolesnego i dwuwartościowego nastawienia wobec żydowskiego świata kulturalnego. Nienawidziło a jednocześnie kochało ten świat. Negowało go, ale zarazem musiało go uznawać, bo samo nie stworzyło jeszcze innych form narodowego bytu, perspektywę zaś zagłady i asymilacji ze strachem odrzucało. Zaciskało pięści przeciw religii żydowskiej, przeciw zabijaniu naturalnych uczuć i odruchów przez skamieniałe dogmaty i przykazania, jako też przeciw duchowi niewolnictwa panującemu w ówczesnym wychowaniu. Ale kochało tę rzeczywistość żydowską w smutnej trosce, że rychło obróci się ona w niwecz.

Walka wewnętrzna wyrwała to młode pokolenie ze szponów wielkiej nienawiści i rzuciła je w objęcia wielkiej miłości.

„Wszystko zburzę, wszystko zniszczę. Tratować będę nogami wszystkie ich świętości, rozkopywać będę groby i zemszczę się za mnie i za moje życie. Jednak nie mogę tego uczynić, choć tak bardzo chcę, bo z głębokich grobów tych unosi się serce rozrywający płacz i błogi, sentymentalny śpiew, który wchłania moje ucho; im bardziej nienawidzę, tym więcej, tym mocniej kocham." (Micha Josef Berdyczewski).

Nieszczęsne pokolenie walczyć poczęło o własną osobowość, o własny renesans duchowy. Jednostka utożsamiała siebie z ogółem. O identyfikacji tej pisze *Nomberg* w swoich „Trzech pytaniach". Pisarz zapytuje i odpowiada: „Czy kochasz Erec-Israel? — Tak, kocham i wraz z chmurami, które płyną na wschód, płyną tam moje uczucia. Czy kochasz język hebrajski? — Tak, kocham język proroków i słyszę w swym sercu głos tej mowy. Czy kochasz naród żydowski? Naród żydowski? — tych kramarzy, handlarzy, pośredników i luftgeszefciarzy? Nie, tego narodu nie kocham, nienawidzę go całą duszą, gdyż ta nienawiść wobec mego narodu jest zarazem nienawiścią wobec mnie samego. Ani na chwilę nie mogę zapomnieć upadku i obrzydliwości naszego życia. Ale wiedz, droga mi jest miłość moja, lecz jeszcze droższa jest mi nienawiść. Ona jest iskrą mej twórczości".

Ta oto walka całego pokolenia o nową kulturę — narodu i własną — otworzyła źródła, z których popłynął potężny nurt *twórczej Palestyny.*

PALESTYNA I BLISKI WSCHÓD

(KORESPONDENCJE WŁASNE „STERU" Z PALESTYNY).

Inż. A. Glizer

MANEWRY WIOSENNE...

Jest głęboka sprzeczność wewnętrzna w wysiłkach tych kół administracji brytyjskiej w Palestynie, które starają się za wszelką cenę podnieść autorytet Arabskiego Komitetu Naczelnego i oczyścić go zarazem z zarzutu prowadzenia akcji nie zupełnie zgodnej z kodeksem karnym. Dwa momenty grają rolę w tych wysiłkach. Z jednej strony istnieje wśród angielskich urzędników na Wschodzie tendencja, która pragnęłaby oprzeć się również w Palestynie jak i w krajach ościennych na czynniku arabskim i w ten sposób zabezpieczyć interesy, które Anglia tu ma, nie licząc się z ewentualną szkodą dla interesów żydowskich. Zrozumiałe, że tego rodzaju nastawienie wymaga podkreślenia wagi i powagi reprezentacji arabskiej. Silny „kompleks arabski", zaszczepiony angielskiej psychice przez Lawrence'a i innych, znamienne dlań i w Anglii prawie powszechne romantyzowanie pustyni i Arabów oraz niebywałe przecenianie siły muzułmańskiej, — przyczynia się oczywiście nie mało do wzmocnienia arabskiej tendencji w polityce angielskiej.

Przeciwstawia się jej tendencja odwrotna, doceniająca znaczenie dzieła żydowskiego w Palestynie i wierząca, że właśnie na drodze popierania tego dzieła znajdzie się zarazem i najlepsze zabezpieczenie interesów brytyjskich. Tendencja ta, słabsza może od pierwszej wśród biurokracji, jest za to silniejsza w opinii publicznej, tak jak ją wyraża parlament i prasa. W Anglii zaś, jak wiadomo, opinia publiczna ma jeszcze dotąd „coś" do powiedzenia...

Ze zderzenia tych dwóch tendencji wynikają ciągłe wahania w polityce angielskiej wobec Palestyny. To nie przysłowiowa „perfidia Albionu" jest winna temu, że nigdy dobrze nie wiadomo, czego właściwie Anglicy w Palestynie chcą, kogo popierają i komu przeszkadzają. To raczej dlatego, że sami Anglicy dotąd dobrze nie wiedzą, czego tu chcą i czego się mają trzymać. Nie ma w Anglii uzgodnionej doktryny politycznej w stosunku do Palestyny i syjonizmu. Stąd ciągłe zygzaki. Jak dotąd, zygzaki te wyznaczały jednak raz z mniejszym, raz z większym wychyleniem, to w jedną, to w drugą stronę pewną kompromisową, — z grubsza w jednym kierunku biegnącą — linię. Linią tą było: umożliwienie rozwoju Żydowskiej Siedziby Narodowej, ale z tym, aby jak najmniejszy przy tym wywołać sprzeciw ze strony Arabów, dla którego celu warto ewentualnie również dość dużo poświęcić i z celu pierwszego.

W tym miejscu dochodzimy do drugiego momentu, wpływającego na stosunek do Arabskiego Komitetu Naczelnego. Wyraziciele kompromisowego kierunku w polityce palestyńskiej, Wysoki Komisarz przede wszystkim, wierzą, że istnienie autorytatywnej reprezentacji arabskiej jest politycznie pożądane, gdyż zapewnia rządowi partnera do pertraktacji, stwarza stronę, z którą można ewentualnie dojść do porozumienia. Na dobrą sprawę nie kto inny, jak właśnie sir Artur Wauchope, jest ojcem Naczelnego Komitetu Arabskiego. Okres, poprzedzający ostatnie rozruchy, zaznaczył się w życiu arabskim niebywałym natężeniem walk międzypartyjnych. W związku z ustosunkowaniem się do projektu powołania Rady Ustawodawczej, a zwłaszcza do foteli radcowskich, które, jak się wówczas zdawało, lada chwila trzeba będzie obsadzić, rozgorzała między stronnictwami arabskimi i reprezentowanymi przez nie rodami zawzięta i nieustępliwa wojna. Dopiero Wysoki Komisarz gwałtem prawie (nie według zasady „divide et impera" zamienił pięć skłóconych stronnictw w jedno ciało: przez ustawiczne zapraszanie przedstawicieli wszystkich stronnictw na łączne audiencje i żądanie od nich wspólnych odpowiedzi zmusił ich Wauchope, bodaj wbrew ich woli, do zewnętrznej przynajmniej jedności. Był to ciężki błąd, który doprowadził w prostej linii do obecnej dyktatury mufti'ego jerozolimskiego w życiu arabskim. Nie mając większości w Komitecie, udało się jednak muftiemu podporządkować sobie cały Komitet i stłumić mocą teroru, któremu przewodzi, wszelką próbę opozycji.

Pomimo to trwa nadal taktyka protegowania Naczelnego Komitetu Arabskiego. W chwili kiedy zdawało się, że trzeba będzie jąć się w Palestynie kategorycznych środków, dał rząd centralny w Londynie w swej deklaracji, uzasadniającej wysyłkę wojska do Palestyny, następującą charakterystykę tego Komitetu: „Komitet notablów arabskich, odpowiedzialny za bezprawia i akty gwałtu, rozgrywające się w Palestynie". Wszystko, co rząd palestyński zarówno przedtem, jak i potem w tej dziedzinie zrobił, zmierzało do zapobieżenia, względnie do cofnięcia tej dyskwalifikacji. Niewdzięczne to było zadanie. Przede wszystkim dlatego, że sprawy na prawdę się mają właśnie tak, jak w powyższej deklaracji, i wszelka próba rehabilitacji kierownictwa arabskiego możliwa jest tylko pod warunkiem gruntownego przymknięcia oczu na rzeczywistą rzeczywistość. Powtóre zaś, nie sposób bronić arabskiego Komitetu bez popadnięcia we wspomnianą na wstępie sprzeczność wewnętrzną. Jeśli nie jest to samozwańczy „komitet notablów", lecz prawdziwa reprezentacja narodu arabskiego, nie można twierdzić, że masowe rozruchy lub akty terroru odbywają się wbrew jego woli. Cóż to za kierownictwo narodowe, którego naród nie słucha?! Jeśli zaś to, co się dzieje, odbywa się z jego aprobatą, jakżeż zwolnić Komitet z odpowiedzialności za terror?

Odpowiedzią, którą wynalazł Naczelny Komitet Arabski wraz z administracją palestyńską, jest dość oryginalna: akty bezprawia Komitet „oczywiście" potępia. W kraju, co prawda, nikt o tym nie wie, zato wie o tem dobrze minister kolonij w Londynie. Aby zaś tak dokładnie poinformowany minister nie popadł przypadkiem w wątpliwości bądź co do realnego wpływu Komitetu, bądź co do prawdziwości jego potępień, następuje w krytycznej chwili akt, który powinien unaocznić zarówno potęgę, jak i dobrą wolę Komitetu: na rozkaz muftiego Palestyna się uspokaja. Mieliśmy coś takiego w czasie przerwania strejku arabskiego. Podobny manewr, wybielający Komitet, zademonstrowano nam teraz znowu.

W chwili, kiedy wzmożony terror doszedł do takiego napięcia, że prawie nieuniknione było podjęcie pod naciskiem Żydów radykalniejszych kroków dla jego stłumienia, ukazała się odezwa Naczelnego Komitetu, podpisana przez muftiego i wzywająca do uspokojenia. W rezultacie mamy teraz okres względnego spokoju. Terror i napady nie wygasły, ale natężenie ich znacznie zmalało i znowu rozgrywają się one przeważnie we wnątrz społeczeństwa arabskiego. Nastąpił do pewnego stopnia powrót do sytuacji, w której kraj się znajdował przed odjazdem Komisji Królewskiej i ostatnią falą wzmożonego terroru. Potwierdził się raz jeszcze fakt, że w orkiestrze terroryzmu arabskiego niejeden z grajków chętnie sobie z solo pokoncertuje, ale że batuta, na skinienie której gra cały zespół, leży we wiadomych rękach w Jerozolimie.

Czy wyciągnął z tego rząd konkluzję, że kto grę przerwał, ten nią pewnie i dyrygował? Bynajmniej. Odpowiedzią rządu było ułaskawienie wszystkich Arabów, którzy skazani zostali w czasie rozruchów na śmierć. Nie trzeba nawet być zasadniczym przeciwnikiem kary śmierci, aby uznać, że był to krok sprawiedliwy. Z jakiej racji ma 6 pechowców, którym się przypadkiem noga powinęła, ponieść najwyższą karę, podczas gdy setki i tysiące ich kolegów cieszy się wolnością, a przywódcy nad to i szacunkiem? Ale ułaskawienia tego nikt nie zrozumiał jako aktu łaski lub słuszności. Wiadomo było powszechnie, że rodziny skazanych groziły zemstą członkom Komitetu Arabskiego w razie wykonania wyroku i że Komitet przyrzekł, że wyrok nie zostanie wykonany. Wszystkie kroki prawie aż do odwołania do Rady Królewskiej w Londynie włącznie zawiodły. Zorganizowano szturm na rząd o ułaskawienie. Gdy w tych warunkach ułaskawienie zostało ogłoszone dokładnie nazajutrz po „uspakajającej" odezwie Naczelnego Komitetu, nie było człowieka, któryby nie widział w tym akcie zapłaty za orędzie muftiego i jeszcze jednej cegiełki do gmachu jego autorytetu.

Rok wielkiej kolonizacji

Obserwując z daleka na podstawie doniesień prasowych życie palestyńskie, można dojść do z gruntu fałszywych wniosków. Prasa z natury rzeczy donosi przede wszystkim o tym co jest niezwykłe, anormalne, wyjątkowe. Wyjątki, nawet liczne, nie stanowią jednak reguły. To też najzupełniej błędny byłby obraz, w którym dzień palestyński wyglądałby, jak jedno pasmo napadów, zamachów, ofiar, protestów, itd., Zapewne, każde wydarzenie, w którymkolwiek zakątku by się nie rozegrało, budzi natychmiastową reakcję w całym kraju. Ostatnie krwawe wydarzenia w północnej Palestynie były dla dalekiego Tel-Avivu nie mniejszym bodaj przeżyciem, niż dla samej Galilei.

Ale przede wszystkim ludzie żyją. Żyją normalnie, pracują, odpoczywają, bawią się. Tak, bawią się. Można czasem usłyszeć słowa oburzone w rodzaju: jak można w takich czasach itd. — chodzić do kina?! Właśnie, że można, a może i trzeba. Właśnie w tej bynajmniej nie obojętności, ale bezceremonialności, z jaką Żydzi palestyńscy przyjmują krwawy atak, tkwi najsilniejszy może dowód, jak głębokie korzenie Żydzi ci już w tej ziemi zapuścić zdołali. Im ostrzejszy i silniejszy jest napad, ostrzejsza i silniejsza musi też być — i jest obrona. To się samo przez się rozumie. Ale wytrącić ogółu z normalnego toku życia, tego nie dokazał i nie dokaże żaden napad.

Normalny tok życia — to w Palestynie jeszcze bardziej, niż gdzie indziej, nie tylko utrzymanie istniejących zdobyczy, ale i tworzenie nowych. Wątpię, czy wiadomo, że rok bieżący jest nie tylko rokiem krwawych wydarzeń, lecz także rokiem usilnej kolonizacji. Rok bieżący będzie w dziejach żydowskiej Palestyny może nie mniej pamiętny, jako okres wielkiego natężenia kolonizacji, niedatowanego w Palestynie od lat, niż jako okres rozruchów, prac Komisji Królewskiej.

Dwa nowe wielkie tereny zostaną w tym roku otwarte dla Żydowskiej kolonizacji rolnej. Jednym z nich jest obszar Beisan (po hebrajsku Beit-Szean), drugi — Samakh (cemach). Dolina Beit-Szean, wschodnie przedłużenie Emek Izreel (Doliny Ezdrelońskiej), w starożytności bardzo żyzna dzięki systemowi kanałów nawadniających, potem zabagniona i opuszczona, wraca obecnie do życia. Dwa „kibuce" (Tel-Amal i Hasade) objęły już grunty, które dla nich Keren-Kajemet w tej dolinie przeznaczył. Kilka innych zespołów kolonizacyjnych czeka na polecenie wejścia na przydzielone im tereny i w najbliższym czasie je obejmie.

Nadgraniczne ziemie doliny Jordanu, które Keren Kajemet nabył w okolicy arabskiego miasta Cemach, przeznaczone są na kolonizację imienia Arlozorowa. Fundusze, zebrane wkrótce po zamordowaniu Arlozorowa na całym świecie, zwłaszcza zaś wśród robotników Palestyny, ku uczczeniu Jego pamięci, zostały i zostaną tu zużytkowane.

Poza tymi dwoma nowymi i wielkimi terenami kolonizacyjnymi czeka na objęcie jeszcze szereg obszarów mniejszych, zarówno nabytych ostatnio przez Keren Kajemet, jak i takich, które PICA (towarzystwo kolonizacyjne barona Rotszylda) od dawna posiada, głównie w Galilei. 22 zespoły kolonizacyjne czekają w tej chwili na zlecenie, aby objąć swe ziemie, osiąść na nich i rozpocząć uprawę.

Utworzenie nowego osiedla nie należało nigdy do rzeczy prostych, ani łatwych. Cóż dopiero teraz! Wymagania bezpieczeństwa stawiają zagadnienie w zupełnie odmiennym świetle, niż dawniej. Nie ma obecnie na ogół mowy o stopniowym osiedlaniu się. Nowe tereny znajdują się przeważnie w okolicach arabskich, nie raz w zupełnym oderwaniu od kolonii żydowskich. Na utworzenie każdego nowego osiedla reagują natychmiast krańcowe sfery arabskie wzmożeniem podżegania w okolicy i próbami teroru (exemplum: Beit Szean). To też założenie nowej kolonii musi być obecnie wykonane błyskawicznie szybko i bardzo gruntownie. Praktycznie odbywa się to w ten sposób, że w najbliższym istniejącym osiedlu żydowskim przygotowuje się zawczasu wszystko, aby następnie pewnego dnia wyruszyć na miejsce i zbudować kolonie w ciągu tegoż właśnie jednego dnia, pod ochroną zmobilizowanej w tym celu w okolicy żydowskiej policji specjalnej i przy pomocy kolonistów z sąsiedztwa.

Charakter nowopowstających osiedli jest taki, że wymagania, które budowa ich w ciągu jednego dnia stawia kolonistom, mogą być zaspokojone wielkim nakładem pracy i wysiłków li tylko dzięki doskonałej organizacji transportu i montażu. W ciągu tego jednego dnia ustawia się zewnętrzne ogrodzenie z drutu kolczastego, mur wewnętrzny drewniany o podwójnych ścianach, odstęp między którymi wypełnia się żwirem dla ochrony od kul, baraki mieszkalne, kuchnię, jadalnię i wreszcie opancerzoną wierzę obserwacyjno-sygnalizacyjną, wyposażoną w reflektory, zasilane przez dynamo polowe.

O roku bieżącym można będzie, zdaje się, powiedzieć nie tylko, że był rokiem usilnej kolonizacji, ale także, że był rokiem kolonizacji pod pewnym względem tak trudnej, jak nigdy dotąd w Palestynie.

W jednym z pism arabskich ukazała się swego czasu wiadomość o założeniu Tel-Amal pod nagłówkiem: „My burzymy, a oni budują". Dziennikarz arabski, przejęty snać gorzkim żalem i szczerym oburzeniem, sam może nie poczuł, jak trafnie sformułował całokształt budującego się w tym kraju dzieła. Każda twórczość budzi sprzeciw. Walka, tocząca się w Palestynie, w istocie swej nie o co innego się toczy. Od pierwszej chwili, od dnia, kiedy grupa Żydów jerozolimskich opuściła Stare Miasto i założyła Petach-Tikwę, zrodził się ten sprzeciw. Arabowie lubią nie raz opowiadać, jaka idylla panowania w Palestynie między Arabami a Żydami za dawnych, dobrych, tureckich czasów, zanim się narodził syjonizm, deklaracja Balfoura i Żydowska Siedziba Narodowa. To fałsz. Zapewne, sprawa przyszłości politycznej kraju, pragnienie objęcia władzy w Palestynie tak, jak objęli ją u siebie effendiowie krajów sąsiednich, pcha muffi'ego i świeckich effendich do walki ze syjonizmem. Niewątpliwie wchodzą w grę u młodzieży momenty nacjonalistyczne, u ludu religijne. Ale nie w tym tkwi sedno rzeczy. Wystarczyło, aby przed przeszło pół wiekiem ukazał się na polu pierwszy oracz żydowski, żeby równocześnie się zrodziła i pierwsza myśl napadu na niego. Kroniki pierwszych kolonii żydowskich z lat przedwojennych nie mało o takich napadach opowiadają.

Od owego czasu wiele się zmieniło. Żydzi przestali być „dziećmi śmierci", jak ich Arabowie pogardliwie niegdyś nazywali. Dziś się na odmianę dowodzi, że wszystko przyszło stąd, że się Arabowie Żydów boją, że to ze strachu przed panowaniem żydowskim Arabowie się buntują. Ale w istocie nieprzerwanie ciągnie się linia od pierwszych poległych pierwszych kolonii żydowskich na wiele lat przed narodzeniem syjonizmu — do ostatnich ofiar nowej żydowskiej kolonizacji: wojna reakcji przeciwko postępowi.

W tej wojnie jest każda nowa kolonia żydowska nowym szańcem w obozie postępu.

Tel-Aviv, 3.IV. 37.

Michael Assaf

W NOWEJ TURCJI

Nadarzyła mi się sposobność rozmawiania z pewnym inteligentem tureckim na temat przemian, dokonywujących się w nowej Turcji. Dla nas, dalekich a zarazem bliskich cudu odnawiającej się Turcji, wiadomości, dotyczące tego kraju, są bardzo pouczające.

Jedną z najdonioślejszych wartości, którymi Kemal Ataturk obdarzył Turcję po straszliwej klęsce, poniesionej w czasie wojny światowej, jest wskrzeszenie świadomości, że Turcy są „narodem panów". W ciągu sześciu stuleci Turcy byli panami sytuacji na Bliskim Wschodzie, we wielu portach Morza Śródziemn. i Azji Centralnej. W w. XIX oraz w pierwszym dwudziestoleciu w. XX znikła wśród Turków świadomość pańska, aż wystąpił Mustafa Kemal — zwany obecnie: Ataturk — i dokonał prawdziwej rewolucji w swoim kraju i narodzie. Systematycznie i silną ręką usuwał wszelkie objawy poddaństwa i uniżania się Turcji wobec pionierów imperializmu europejskiego — w dziedzinie finansów, gospodarstwa i nauki. Zyski, które obce towarzystwa ciągnęły z Turcji otomańskiej, zaliczane są obecnie jako podstawowa część ceny, którą Turcja Kemala płaci tym towarzystwom za odstąpienie swych interesów i majątku w Turcji. Oświata ludu tureckiego została odebrana z rąk misjonarzy i obcych towarzystw. Wprawdzie uczą tam teraz liczni nauczyciele europejscy, ale są oni *zasymilowani do narodu tureckiego*. (W szczególności odznaczają się zdolnością asymilowania się Żydzi — wygnańcy z Niemiec) Duch krańcowego nacjonalizmu tureckiego panuje więc we wszystkich instytucjach oświatowych.

Przeświadczenie „pańskości" w stosunku do Europy ma jednak tylko charakter bierny: wy jesteście panami, ale także my jesteśmy panami. Wychowankowie uniwersytetów zachodnio - europejskich stoją u steru nowej Turcji, a ich najgorętszym życzeniem jest podniesienie życia tureckiego do poziomu europejskiego.

Siła aktywna i agresywna tureckiego uczucia pańskości znalazła swój wyraz w stosunku do mniejszości narodowych, albo ich resztek (Armeńczycy, Grecy, Żydzi..), a w szczególności wobec narodu, który zamieszkuje terytoria, należące dawniej do Turcji — Arabów. Turcy patrzą na Arabów z góry i z najwyższą pogardą; nie zapomnieli im jeszcze zdrady w chwilach przełomowych dla Turcji. Nie występuje dziś wprawdzie myśl ponownego zdobycia tych terytoriów, ale z drugiej strony Turcja Kemala patrzy z niechęcią na każdy przejaw wzmocnienia się Arabów i realizowania idei pan-arabskiej. W chwilach zaognienia się konfliktów politycznych, jak n. p. ostatnio w sprawie Aleksandretty, potęgują się w Turcji głosy, domagające się aktywnej ingerencji anty-arabskiej, przeważają jednak nastroje rozwagi, wskazujące na przymierze z Anglią i Francją oraz możliwości taktyki politycznej, nie uciekającej się do ostatecznych środków. Turcja dąży obecnie do wzmocnienia wpływów swoich w Iraku w stopniu, któryby umożliwiał jej mieszanie się do arabskich spraw politycznych. Już obecnie, w sprawie Aleksandretty udało się Turcji uciszyć i pomniejszyć siłę protestu pan-arabskiego. Oto Saudia i Irak, dwa główne państwa bloku arabskiego, przeszły w spokoju nad wydarzeniami w Syrii. Wystarczy, gdy porównamy stopień angażowania się tych państw w sprawach palestyńskich w czasie ostatnich rozruchów oraz wstrzymanie się od jakiejkolwiek interwencji w sprawie Aleksandretty, aby zrozumieć silną pozycję Turcji w stosunku do polityki pan-arabskiej. A przecież przywódcy tureccy wcale nie ukrywają, że sprawa całkowitego wcielenia Saudżaku do Turcji jest kwestią kilku lat. A także przyszły los Aleppa, najważniejszego ośrodka handlowego Syrii został już przesądzony w oczach polityków tureckich.

Jednym z największych niebezpieczeństw, zagrażających arabskim obszarom, przylegającym do Turcji — jest polityka pan-turecka, dążąca do ściągnięcia jak najwięcej Turków europejskich (z Kaukazu, Bałkanów) do Anatolii i okolic. Polityka ta nie zadawala się przyznaniem Arabom stanowiska mniejszości narodowej, ale dąży do zupełnego ich wyparcia z pewnych terytoriów. Turcja Kemala wystrzega się przyjmowania nowych mniejszości narodowych, widząc w ich istnieniu jedną z głównych przyczyn dawnego upadku.

Jednym z ciekawych objawów w nowej Turcji jest przeciwstawianie się wpływom religii muzułmańskiej na życie codzienne. Wpływa na to kilka czynników: nastrój antyreligijny w ogóle, opozycja wobec Islamu, jako arabskiego tworu religijnego, negacja religii, jako formy reakcji społecznej. Rząd odebrał klerowi niezależną pozycję degradując duchownych do stanowiska drugorzędnych urzędników państwowych. Pozbawieni siły ekonomicznej, kapłani nie wywierają obecnie wielkiego wpływu na masy. Rząd nie cofnął się nawet przed likwidowaniem i burzeniem meczetów, jeśli przeszkadzały moralnemu biegowi życia świeckiego. Młode pokolenie jest wychowywane w całkowitej obojętności religijnej. Rozumie się, że kobietom przyznano maksymalną swobodę w kierunku umożliwienia czynnego udziału w życiu społeczeństwa. Tak oto kobieta turecka stała się celem, a zarazem środkiem rewolucyjnym; burzy ona przegrody i tradycje całych stuleci, dzięki zaś czynnemu udziałowi we wszystkich dziedzinach życia budzi nowe impulsy, szkodliwe może dla założeń Islamu, ale pożądane przez przywódców nowej Turcji.

Trzon nowej Turcji stanowi armia i ludność wiejska, mająca większość w kraju. Około 300 tysięcy żołnierzy stoi pod bronią, a w razie potrzeby liczba ta może wzrosnąć do miliona. Armia otoczona jest troskliwą opieką społeczeństwa. Po niej baczną uwagę poświęca się opiece nad rolnikami, natomiast ciężar podatków spada głównie na ludność miejską, znaczny odsetek której stanowią — obcy! Rząd stara się o znalezienie głębokiego oparcia w narodzie, toteż wiekszość reform zmierza w tym kierunku. Rząd usiłuje też zmienić oblicze socjalne kraju przy pomocy systemu etatyzmu. Godzi to oczywiście przede wszystkim w mniejszości narodowe: w Armeńczyków, Greków i Żydów. Natomiast mieszczanie — Turcy cieszą się opieką rządu.

W Turcji nie ma oficjalnego antysemityzmu. Sternicy Turcji odgraniczyli się od wielkorządcy w Tracji, który w swoim czasie usiłował rozwiązać kwestię żydowską przy pomocy wygnania — udzielono mu dymisji. O Ataturku mówią, że nie ma uprzedzeń wobec Żydów; ale znaczna część 70.000 Żydów tureckich pozbawiona jest przyszłości w tym kraju. Ekskluzywny duch narodowy zapanował we wszystkich dziedzinach życia tureckiego, wywierając nacisk na wszystko co obce. W Ankarze, ośrodku centralnym nowego państwa przebywają tylko nieliczni Żydzi. Nie widzi się ich tam zupełnie. Młodzież żydowska ma przed sobą mur nie do przebycia, a widząc wokół siebie potężny proces odrodzenia, czuje się obca i odosobniona. Syjonizm jest zabroniony w Turcji. A chociaż oficjalnie rząd nie nakazał dotąd Żydom — i zapewne nie nakaże im w przyszłości — ująć za kij wędrowny i wyemigrować z kraju, to jednak rzeczywistość i przyszłość 70.000 Żydów tureckich przedstawia się w czarnych barwach.

Dr. N. Łubnicki

DOSTOJNA GRZESZNICA

(ODBRĄZOWIENIE NAUKI)

„Trudno czerpać ze źródła prawdy, jeżeli wiadro przecieka".
SIR A. S. EDDINGTON.

Żył sobie Adam Mickiewicz. Miewał w życiu niezawodnie katary i niedyspozycje żołądkowe, popełniał od czasu do czasu nieznaczne konwencjonalne kłamstewka życiowe, jak każdy z nas, — upadał, błądził, ale też i podnosił się, walczył ze złymi mocami, cierpiał, kochał, tworzył... I oto żywego, cierpieniami i poszukiwaniami bliskiego nam człowieka okuto w spiż, unieruchomiono, postawiona na cokole z granitu, słowem — *zabrązowiono*. Urzędowej literaturze zakazano wnikania w intymne, codzienne życie wieszcza ze wszystkimi jego słabostkami — jakże drogimi dla wielbiciela *żywego* Mickiewicza! — Powstała bezkrwista abstrakcja, ubogi symbol. Zatracono rzeczywistość, utrwalono fikcję. I dopiero ostatnie dwudziestolecie w osobach najświatlejszych krytyków polskich czyni rozpaczliwe wysiłki, by wyzwolić z pod spiżowej łuski Mickiewicza — człowieka.

BAŁWANY SĄ NIEŚMIERTELNE.

Dążenia do zabrązawiania istoty ludzkiej — w jakiejkolwiekby było postaci — jest stare, jak kultura ludzka.

Już na wiele wieków przed erą chrześcijańską ujawniło się ono w przedstawianiu ludowi faraonów egipskich za życia jako synów boga RA, a po śmierci — jako dostojnych, nietykalnych mumii. W Grecji dawno umarłych, czymś zasłużonych ludzi podnoszono do godności herosów, półbogów (*Herkules, Prometeusz..*) A i w naszej erze, rzecz ma się nie inaczej. Potrafimy wznosić niebosiężne piedestały nawet *żywym współczesnym*, którzy zresztą chętnie przyglądają się temu, jak serce ich (i mózg) w oczach ludu stopniowo przeistaczają się w brąz.

Ale potrafimy bez porównania więcej. Nadajemy cechy nadludzkie: nieśmiertelności, wieczności, bezwzględności — nawet wytworom rąk i ducha ludzkiego. Już robione z drzewa *bałwany* ludów przedhistorycznych uważane były przez nie za *wieczne*. Koncepcja ta niewielkiej doznała przemiany w naszych czasach w stosunku do pewnych przedmiotów symbolicznych. — Cóż dopiero kiedy chodzi o wytwory wyobraźni, rozumu, woli! Człowiek pierwotny „stwierdzał" w każdym zjawisku przyrody udział wszechpotężnych *demonów* złych i dobrych, co przecież w niewiele zmienionej postaci przetrwało do dziś nie tylko w wierzeniach ludu...

A gdyby ktoś przytoczył twierdzenie znakomitego filozofa *Comte'a*, że nasza epoka w odróżnieniu do poprzednich — religijnych i metafizycznych — jest naukowa, moglibyśmy, nie chcąc mu zrobić zawodu i zgodziwszy się na tę tezę, mimo to okazać, że dążenie nasze do zabrązowiania w stosunku do *nauki* jest nie mniej silne, niż w stosunku do innych przedmiotów.

Łatwo wykryć przyczyny *socjologiczne* tego zjawiska: w starożytnym *Babilonie*, w *Indiach*, w *Chinach*, w *Egipcie* kasta kapłanów starała się za wszelką cenę ukryć swą słabość przed ludem i w tym celu usiłowała sugerować mu: boską moc wszystkich swych praktyk, między innymi też i badań naukowych, „hermetycznie" zamkniętych dla niewtajemniczonych. —

UNIWERSYTET KNOCK — OUT'UJE SZKOŁĘ.

Bo oto uprzytomnijmy sobie, jakie pojęcie o nauce wynosi uczeń ze *szkoły średniej*. Podaje mu się tam przepisowymi porcjami, dogmatycznie i bezosobowo, „wieczne prawdy" matematyki, fizyki, krytyki literackiej, prawdy, zastygłe w promiennym majestacie *autorytetu nauczyciela i podręcznika*, prawdy niezmienne i sztywne,mające być jedynie niedostatecznie zrozumiałe dla ucznia, ale nigdy — przezeń obalone — „Nauczyciel wie lepiej". —

Uczeń przyzwyczaja się do zapatrywania się na naukę jako na *żelazobetonową twierdzę*, w której wszystko jest już dawno gotowe, którą trzeba za wszelką cenę zdobyć, ale w której zmienić cokolwiek niepodobna. Najwyżej — a czynią to *generałowie nauki* — można nadbudować nad tę twierdzę górne bastiony i strzelnice. Dotychczasowe jej pokłady są niewzruszone i stanowią w domniemaniu ucznia absolutnie pewną bazę dla operacji wojennych *generalnego sztabu uczonych*. Wystarczy przymocować armaty aparatów badawczych do niezachwianych murów twierdzy, której na imię Nauka, i wycelować w „nieznane", a zdobycie jego jest kwestią sekund.

Ten sąd o nauce jest niezmiernie rozpowszechniony. Czyż nie świadczy o tym *półinteligenckie* przysłowie: „pewne jak dwa razy dwa cztery"?

Dopiero na uniwersytecie stwierdza młodzieniec z *przerażeniem*, że to, czego się uczył lata całe z taką zaciekłością, co przyjmował kornie jako ostateczne objawienie, nie znoszące zuchwalstwa krytyki, — to wszystko było tylko jakimś *szatańsko-złośliwym urojeniem*. Jedni specjaliści od literatury wynoszą klasyków nad modernistów, inni czynią wręcz odwrotnie. Jedni fizycy są za dawną koncepcją trójwymiarowego nieskończonego świata, w którym promienie biegną po liniach prostych; inni głoszą, że *świat ma 4 a nawet 5 wymiarów*, że *jest skończony*, choć nieograniczony, że promienie w biegu swym wykreślają olbrzymie łuki. Jedni matematycy zachowują układy szkolne, w których 2x2=4, a suma kątów w trójkącie równa się 2d; inni konstruują systemy podobno „prawdziwe", w których *2x2 nie równa się 4*, a suma kątów w trójkącie jest stale większa, albo mniejsza od dwóch prostych, regularny czworobok nie jest wcale prostokątny itd. itd....

Cały potężny, absolutnie solidny *niebotyczny gmach nauki*, zbudowany ponoć na niezachwianym na pozór fundamencie, *wali się* nagle w *gruzy*, jak rozsypuje się przysłowiowy domek z kart w oczach gorzko zawiedzonego dziecka.

MLEKO PRAWDY W RZESZOCIE BADACZA.

Okazuje się, że nauka nie jest niezniszczalna. niezachwianą twierdzą z żelazobetonu. Należałoby ją raczje porównać do wiecznie zmiennego *olbrzymiego znicza*, którego płomień wije się na wichrze, rozsypuje miliony rozżarzonych cząsteczek, wykręca się na wszystkie strony ognistymi językami, a nigdy nie ginie i znowu strzela prosto ku niebu płomiennym słupem, gdy wicher ustaje.

Tymi wichrami są przewroty, dokonywujące się w nauce co pewien czas, *zmiatające* jej *dotychczasowe teorie i zasady*, a na miejsce ich wnoszące inne.

Tak się stało nie dawno z „klasyczną" fizyką newtonowską, która okazała się „niezdatna" do pomiarów w skali mikroskopowej (wnętrze atomu) i makroskopowej (arena wszechświata). Potrzeba było genialnych umysłów *Einsteina, Plancka, Schrödingera* i wielu, wielu innych znakomitych myślicieli i badaczy, by do gruntu zmienić nasze pojęcie o przestrzeni, czasie i grawitacji.

Dowiedzieliśmy się, że długość ciała i jego masa nie jest niezmienna, lecz zależna od szybkości ruchu, w jakim dane ciało się znajduje; że nie ma bezwzględnego *czasu wspólnego dla wszystkich ludzi*. Każda jednostka nosi ze sobą swój prywatny czas indywidualny, różny od czasu innej jednostki, tak, że słówko „jednocześnie" nie ma z punktu widzenia fizykalnego żadnego sensu .— Dziś wiemy, że gdyby dwoje ludzi umówiło się spotkać z sobą *za rok*, przy czym jeden z nich wędrowałby przez ten czas z ogromną szybkością po wszechświecie, a drugi pozostał w domu, — to pierwszy z nich przybyłby *po 70 latach* na miejsce spotkania z punktu widzenia drugiego; a byłby przekonany, że solennie dotrzymał zobowiązania.

Powiadam, więmy. — Ale jak długo? — Ten etap nie jest ostateczny. Płomień znicza, zdaje się stoi prosto. — *Złudzenie!* — Dopóki nie zwieje go nam nowy gwałtowny poryw wichru!

Czy można się dziwić, że teorie naukowe są tak nietrwałe? — Jest ona przecież wytworem ułomnego, acz upartego i namiętnego umysłu ludzkiego, ustawicznie błądzącego, lecz poszukującego i odnajdującego przez chwilę światła w ciemności.

UCZONY A ŚWINKA MORSKA.

Na Uniwersytecie Warszawskim *bada się inteligencję zwierzęcia*, np. świnki morskiej, wpuszczając ją do *labiryntu* z pożywieniem w komorze środkowej i obserwując jej zachowanie się. Zwierzę przy pierwszych próbach biegnie po korytarzach na oślep, aż przypadkowo natrafia na pokarm. Później jednak potrafi wyzyskać swe doświadczenie, unikając dawnych błędów, i przebywa najprostszym sposobem skomplikowany system korytarzy, osiągając cel. Metodę tę nazywa psychologia *„metodą prób i błędów"*. Stosuje ją nie tylko świnka eksperymentalna; stosuje też i uczony, „starszy" (urojenie!) i pewnie mądrzejszy, choć nieodrodny brat doświadczalnego zwierzątka.

Oto kilka ilustracji *błądzenia człowieka w labiryncie Przyrody*.

Arystoteles, jeden z najgenialniejszych umysłów w dziejach ludzkości, twórca i systematyk logiki, psychologii, poetyki, naukowego przyrodoznawstwa i nieskończonego szeregu innych dziedzin naukowych, *tłumaczył spadanie i wznoszenie się ciał całkowicie opacznie*. Nauczał on, że dla każdego ciała przeznaczone jest specjalne locum we wszechświecie i dlatego każde dąży do swego miejsca przeznaczenia, gdy nie jest skrępowane. Para np. powinna znaleźć się w regionach gwiezdnych; ołów — w czeluściach podziemnych itd. — Potrzeba było dopiero nowożytnie zorganizowanego umysłu Newtona, by przekonać wiek XVIII i XIX, że siła ciążenia ku środkowi ziemi tłumaczy zarówno wznoszenie się balonów, jak i opadanie meteorów.

Wiek XX przynosi nam pod tym względem *jeszcze większą rewelację*. Einstein i jego uczniowie twierdzą, że *cała dotychczasowa fizyka była w błędzie: siła grawitacji nie istnieje*, a krążenie planet dokoła słońca po elipsie tłumaczy się nie przyciąganiem słońca, lecz *zakrzywieniem przestrzeni kosmicznej*, w której biegną planety.

Zaiste fantastyczny i tragiczny zarazem obraz błądzenia w labiryncie. — A skąd pewność, że drogą, jaką obrała teoria względności, jest drogą właściwą?

W tym labiryncie badań ludzkich nie ma nawet sprawdzianu w postaci odnalezionego pokarmu, jak to ma miejsce w eksperymencie ze zwierzęciem. Wszak możność przewidzenia jakichś zjawisk lub ich wyzyskanie dla celów technicznych nie świadczy bynajmniej o prawdziwości teorii, zjawiska te tłumaczącej. Znany jest np. fakt, że *Kepler* doszedł do poprawnych obliczeń dróg planet dokoła słońca, wychodząc z przekonania, *że duchy nieśmiertelne wprawiają planety w ruch*. — Podobnie *Mesmer* osiągał operacjami *hipnotycznymi* bardzo cenne praktyczne wyniki lecznicze mimo to, że wyznawał *karkołomną teorię fluidów kosmicznych*, wypełniających przestrzenie międzygwiezdne i wiążących wszystkie istoty w jedną nierozerwalną rodzinę.

„THOBBING".

Uczony jest tylko człowiekiem i daje się łatwo porwać uczuciom lub wyobraźni. Amerykanie wymyślili nawet specjalny termin „Thobbing" (od pierwszych liter wyrazów angielskich: thinking (myślenie), opinion (mniemanie), belief (wierzenie) na oznaczenie *rozumowania, zniekształconego przez czynniki irracjonalne*. Takie „Thobbingi" nie są u uczonych czymś zbyt rzadkim.

Tycho Brahe, znakomity astronom duński XVI wieku, utrzymywał, że *wierutnym kłamstwem jest twierdzenie kopernikańskie*, jakoby ziemia obracała się naokoło słońca, ponieważ „ruch jest zjawiskiem szlachetnym, więc przystoi raczej gwiazdom i słońcu, niż ziemi".

Wyżej wspomniany już *Kepler*, najwybitniejszy poprzednik Newtona, sądzi, że *komety istnieją po to, by przestrzenie świata nie były próżne, co godziłoby w ambicję Boga;* również ryby istnieją po to, jedynie, by obszary morskie nie ziały pustką, nie dając Stwórcy możności rozwinąć całkowicie swej potęgi.

O zwierzętach kopalnych z czasów przedpotopowych sądzono przed *Cuvier'em*, że Stwórca stworzył te „dziwy" specjalnie w tym celu, by były one następnie źródłem błędów dla mędrkujących biologów, ważących się doszukiwać zasad życia .

Przykłady tego rodzaju rozumowań można byłoby mnożyć bez końca. Ale nie tylko w teoriach naukowych przejawia się słabość uczonych. Uwidacznia się ona na każdym kroku zarówno w życiu prywatnym jak i publicznym. Chęć zysku, zawiść, pragnienie zemsty, skłonność do intryg gnieżdżą się zarówno w duszach wielkich badaczy, jak i w psychice przeciętnego śmiertelnika. Ale u prawdziwych uczonych, rozmiłowanych w swej pracy, wszystkie te słabości i przywary ustępują na plan dalszy wobec jednej *szalonej szlachetnej namiętności wiedzy*.

Uczony staje się bohaterem. Odbywa *mrożące w żyłach podróże* w przerażające pustki przestrzeni stratosferycznych *(Piccard)*, lub w tajemnicze groźne głębie *oceanu (Beebe), zaszczepia sobie najstraszniejsze trucizny* i obserwuje chłodno krok za krokiem ich działanie, notując w pamiętniku swe ostatnie chwile („Łowcy mikrobów"). Wszystko poświęca dla wiedzy. *Naraża się na wygnanie i wyklęcie, jak Spinoza; na spalenie i łamanie kołem, jak Bruno i Galileusz; na otrucie, jak Sokrates*. Jest gotów na wszystko, byleby zdobyć *żywą płonącą prawdę*, stale rosnącą i rozwijającą się, podaną nie w sztywnym, skamieniałym dogmacie, nieustannie nęcącą wiecznie zmienną dynamiką form.

Jak można odrywać naukę od jej twórców, jeśli się chce ją nietylko poznać, lecz i pokochać?

Nauka błądząca, upadająca, *tonąca* w zabobonach, grzechach intelektualnych, lecz jednocześnie zmagająca się rozpaczliwie, podnosząca, pokonywująca mroki, — jest nieskończenie droższa nam, niż domniemany zastygły *absolut na koturnach* —jak droższa jest i bliższa światu *cierpiąca grzeszna Magdalena* od wyniosłego zimnego posągu *wiecznej Dziewicy-Ateny* w świątyni Partenonu.

Karol Szymanowski

Zgon wielkiego kompozytora

W nocy z 28 na 29 marca zmarł w Lozannie Karol Szymanowski, najwybitniejszy polski kompozytor współczesny.

Żałobna wieść, podana do wiadomości publicznej najpierw przez radio, następnie przez „P.A.T."a za pośrednictwem dzienników, wywarła na wszystkich wielkie wrażenie. Szymanowski był bowiem jeszcze człowiekiem w sile wieku, człowiekiem niesłychanie intensywnej pracy. Śmierć wyrwała go właśnie z toku tej tak przez niego umiłowanej pracy wówczas, gdy miał na warsztacie kilka dzieł, zakrojonych na szerszą skalę (m. inn. koncert fortepianowy), gdy z młodzieńczym zapałem snuł dalsze plany, nie przypuszczając, że tak prędko wybije jego ostatnia godzina.

*

Urodzony 21 września 1883 r. w Tymoszówce na Ukrainie, kształcił się Szymanowski w Warszawie najpierw u Marka Zawirskiego, następnie u Zygmunta Noskowskiego. Całe swe życie poświęcił nieprzerwanie pracy twórczej, niestrudzony w wysiłkach na tym polu. Zostawił też dlatego aż 61 opusów, z których każdy przedstawia tom okazały, co w dzisiejszej dobie stanowi olbrzymi dorobek kompozytorski.

Jeżeli w dawnych czasach, np. klasycy mogli pisać nawet i setki opusów (np. Haydn samych symfonii napisał sto kilkadziesiąt, a Mozart kilkadziesiąt) — to dlatego, że wówczas technika kompozytorska i faktura instrumentalna były o wiele prymitywniejsze, przez co komponowanie, instrumentowanie i zapisywanie wszystkiego zabierało o wiele mniej czasu i energii.

Nawet ciężka choroba (gruźlica), która od szeregu lat nękała organizm Szymanowskiego, nie wytrącała go na czas dłuższy z pracy; wielokrotnie przecież słyszało się o pogarszeniu zdrowia, nawet o niebezpieczeństwie, zagrażającym życiu — a jednak, gdy zaledwie, dzięki leczeniu i zmianie warunków klimatycznych (Szymanowski udawał sie wówczas bądź do Szwajcarii, bądź do Zakopanego) następowało polepszenie — po krótkim już czasie świat dowiadywał się o nowym dziele i nowych sukcesach kompozytora.

Obok pracy kompozytorskiej był Szymanowski niejednokrotnie też czynny i na innych polach muzycznych. W r. 1927 stanął na czele Warszawskiego Konserwatorium, najpierw jako dyrektor, a następnie rektor tej uczelni.

Żywo interesując się wszystkim, cokolwiek miało związek z muzyką lub w ogóle ze sztuką, nieraz zabierał głos na łamach prasy. Napisał też ciekawe studium o Chopinie.

W ostatnich latach występował także w charakterze pianisty jako wykonawca partii fortepianowej swojej czwartej symfonii (na orkiestrę z fortepianem).

*

Wielki talent Szymanowskiego zabłysnął odrazu w pierwszych jego utworach. Mając lat 18, napisał pierwsze 9 preludiów fortepianowych, wydanych następnie w „Uniwersal Editian" jako opus 1.

W preludiach tych, oraz w wariacjach b-moll op. 3 i 4-ech etudach op. 4 (z których etuda b-moll jest najpopularniejszą ze wszystkich utworów Szymanowskiego), zarówno jak i w pieśniach, czy to do słów Tetmajera (op. 2), Kasprowicza (op. 5), czy Berenta (op. 7) — wszędzie jasno zarysowuje się przebogata intuicja kompozytorska i napięcie twórcze o rzadko spotykanej sile. Śmiało powiedzieć można, że np. wariacje b-moll op. 3 należą do najlepszych wariacji, jakie literatura fortepianowa posiada.

Nie dorównywują im wartością swoją wariacje op. 10 „na temat ludowy" — natomiast dwa poprzedzające je opusy, I-sza sonata fortepianowa (op. j) i sonata skrzypcowa d-moll (op. 9) stanowczo zasługują na to, aby częściej były grywane.

Szymanowski był organizacją o niezwykłej inteligencji i wielkiej, prawdziwie europejskiej, kulturze. Umysł miał otwarty na wszystko. Wszystkie przejawy życia muzycznego, a zwłaszcza nowe prądy, nurtujące twórczość muzyczną, nie tylko przejmowały go, lecz starał się on z całym entuzjazmem zbliżyć kolejno do wszystkich nowych kierunków, gruntownie je zgłębiając i przetrawiając je w sobie.

Tak więc, gdy po ukończeniu studiów u Noskowskiego, udał się do Niemiec, gdzie wówczas wszechwładnie panował wpływ Ryszarda Straussa, Szymanowski, na podobieństwo innych młodych kompozytorów tego pokolenia, nie oparł się pokusie i dał się porwać urokowi Straussowskiego „Don Juana" — owocem tego była „Uwertura koncertowa" na orkiestrę op. 12, świadcząca jednak zarazem o świetnym opanowaniu faktury orkiestrowej.

Wkrótce Szymanowski otrząsnął się z wpływów symfoniki niemieckiej i zbliżył się do impresjonistów francuskich. „Mity" skrzypcowe op. 30, a zwłaszcza popularna „Fontaine d'Arethuse", to istna perła literatury skrzypcowej w swoim rodzaju.

Kierunek, podnoszący w muzyce znaczenie pierwiastków intelektualnych, refleksyjnych, nie pozostał także bez wpływu na twórczość Szymanowskiego.

Szymanowski idzie przez pewien czas po linii gromadzenia kombinacji dźwiękowych, raczej przemyślnie wyrozumowanych, niż szczerze odczutych, po linii rozmyślnego zrywania z ładem i koordynacją, czy to w dziedzinie harmonii czy rytmu! Poprzez gąszcz atonalności i brak usystematyzowania rytmicznego, chwilami zatraca sie plastyka wyrazu, chwilami nawet (np. „Maski" op. 33) zdaje się, że intencje twórcze Szymanowskiego zaczynają gubić się w labiryncie zawisłości.

Szymanowski jakgdyby wypowiada walkę odwiecznym i nieprzemijającym prawom w sztuce, prawom ładu i harmonijnego skoordynowania poszczególnych elementów, t. j. prawom, stanowiącym pomost między prawdziwie wielką sztuką a psychiką ludzką, — zarówno psychiką twórcy, jako źródła tego piękna, jako też psychiką słuchacza — odbiorcy wrażeń artystycznych.

U Szymanowskiego są to wszystko drogi, którymi wielki talent dąży do wytworzenia własnego, wyodrębnionego stylu, do zrealizowania swych zamierzeń twórczych w sposób, odpowiadający jego szczytnym ideałom.

Szymanowski nie zasklepia się w żadnym kierunku. W wielkich jego dziełach, jak np. w operach „Hagith", „Król Roger", w III-ej symfonii p. t. „Pieśń o nocy" (na orkiestrę z chórem i głos solowy), w oratorium „Stabat Mater", zestawione są obok siebie różne rodzaje ekspresji, a wszystko zawsze łączy się w całość jedną cechą wspólną: niepospolitą siłą impulsu twórczego.

Bardzo ciekawy jest pod tym względem I-y kwartet smyczkowy op. 37, sygnalizujący nawrót do tonalności. Całość kończy się na tonice C-dur, poprzedzonej dominantą; podczas gdy II-a część zaczyna się pięknym tematem, utrzymywanym w ścisłym E-dur, wolnym od jakichkolwiek ostrzejszych dysonansów — w ostatniej części każdy instrument napisany jest w innej tonacji, a mianowicie: I-sze skrzypce mają w kluczu 3 krzyżyki (A-dur). II-e skrzypce 6 krzyżyków (fis-dur), altówka 3 bemole (c-moll), wiolenczella bez krzyżyków i bemoli (c-dur).

W ostatnich latach Szymanowski zbliża się do ludowej muzyki góralskiej, z którą poznał się w czasie swego pobytu w Zakopanem.

Na motywach ludowych opiera się IV-a symfonia (na orkiestrę z fortepianem) oraz ostatnie dzieło Szymanowskiego, balet „Harnasie" który jak wiadomo wystawiony był w Paryżu i Pradze Czeskiej.

Nie można dzisiaj jeszcze ściśle ocenić wartości dzieł Szymanowskiego, ani przewidzieć miejsce, jakie zajmą one w literaturze. Rolę tę spełni historia, wówczas gdy nabierze perspektywy do całokształtu tej twórczości.

Na razie można stwierdzić, że Szymanowski należał do tych nielicznych kompozytorów współczesnych, którym dane było za życia zaznać wielkiej sławy, i co ważniejsze, doczekać się wystawienia wielu dzieł swoich w licznych wielkich środowiskach muzycznych Europy i Ameryki — co przecież zawsze zależy nie tylko od talentu, lecz także od sprzyjających okoliczności życiowych.

Pytanie, czy dzieła te istotnie utrzymają się trwale w repertuarze tych instytucji operowych i koncertowych do których dotarły?

Pokaże nam to najbliższa przyszłość; a odpowiedź na to pytanie będzie zarazem miarą zrozumienia dla twórczości Szymanowskiego, który tyle chwały przysporzył muzyce polskiej.

J. ERNICZ — HOMAŃSKA

Dr. J. Pruszynowski

CZARODZIEJ PSIEJ ŚLINY

(W PIERWSZĄ ROCZNICĘ ZGONU I. P. PAWŁOWA).

W ciszy minęła u nas pierwsza rocznica śmierci Iwana Petrowicza Pawłowa. Powody milczenia nie trudne są do odnalezienia. Cały bluff o tym wielkim człowieku został wyczerpany w zeszłorocznych artykułach pośmiertnych, a jego dzieło nie dojrzało jeszcze do prymitywnej wersji, w której możnaby było je kolportować śród ogółu esencjami i fragmentami, jak darwinizm lub freudyzm.

INDYWIDUALNOŚĆ FREUDA.

Początek bluffiady datuje się od pamiętnego faktu. „Ilustrowana Encyklopedia", „Encyklopedia Powszechna" i Leksykon Trzaski, Everta i Michalskiego podają, że Pawłow umarł 20 lat przed śmiercią — zasnął w Bogu w r. 1916 r. W najbardziej twórczym okresie pracy nad psią śliną, wymeldowały go z życia. Z rzeczonych tekstów wynika też, ze po 1904 r., kiedy dopiero Pawłow zabrał się do wielkiego dzieła, nic godnego uwagi już nie zrobił. W tym względzie wszystkie polskie encyklopedie są jednej dobrej, choć fałszywej myśli. (patrz Encyklopedia Przeworskiego z 1936 r.)

Rozszalała dopiero bluffiada w ubiegłym roku, bezpośrednio po śmierci Pawłowa. Z „blagodajnych" źródeł publicystycznych wyrastała osobistość, która czerpała najżywsze emocje z oblewania żrącymi płynami badanych piesków kochanych Kiki i Mimi oraz z wysłuchiwania cerkiewnej mszy św. co niedziela. Tragedię jego życia miała stanowić Bolszewia, której pono zapamiętale nie znosił, a pocieszenie rzekomo dawały mu rozrzewniające wspomnienia z dobrych, carskich czasów oraz wiszący nad łóżkiem reprezentacyjny portret Mikołaja II.

Tak sprawa Pawłowa została u nas szczególnie i definitywnie załatwiona. Pawłowa-klasyka przyrodoznawstwa, geniuszu epoki.

Jednak w tej „pełnej" charakterystyce Pawłowa można by było zmodyfikować kilka drobniejszych szczegółów. Więc akademik Pawłow lubił pieski, bardzo je lubił i pamiętał imiona wszystkich psów, z którymi on i uczniowie jego mieli w ciągu kilkudziesięciu lat do czynienia. Nie każdy miłośnik kobiet na większą skalę mógłby sie podobną pamięcią pochwalić.

Akademik Pawłow nie gustował też specjalnie w prawosławiu.

Wreszcie Iwan Pawłowicz nie tęsknił za caryzmem. Owszem był taki moment w jego życiu, ale to muzyka przeszłości.

Stosunek Pawłowa do Rosji Sowieckiej był wrogi, ale tylko do 1923 r. Sowieckiej elicie bardzo zależało na pozyskaniu tego tytana umysłowego. Prawowierni intelektualiści krytykowali go i dysputowali z nim, powoływali się na samorzutne sowieckie sympatie wielu wybitnych uczonych z Tymiriazewem na czele, asygnowali dla jego badań ogromne fundusze pieniężne — nie złagodziło to jednak jego opozycyjnej postawy. Zdaje się to być w pierwszym rzędzie robotą Bucharina, że Pawłow po latach nieprzejednania lojalnie uznał reżim sowiecki. Niespełna rok przed śmiercią, na wieczorze urządzonym przez Mołotowa, Pawłow głośno podkreślił swój stosunek do Z. S. R. R. „Myśmy się wszyscy wówczas cieszyli"— pisał Radek.

Sympatie białogwardyjskie Pawłowa należą tedy do plusquam perfectum.

Najlepszą charakterystykę Pawłowa dał jego polski uczeń i współpracownik Jerzy Konorski. Nie była coprawda pozbawiona zabrązowień, ale wyczuwało się w niej entuzjazm dla wielkiego nauczyciela. Przed nami stanął Pawłow jako gigant, z którym nikt z otoczenia zmierzyć się nie potrafi. Niespożyta energia, fenomenalna pamięć, wielkie idee, głęboki krytycyzm, żywiołowy temperament złożyły się na tego „człowieka, nie na ludzką miarę skrojonego."

Bez wątpienia Pawłow był osobistością najwyższej kategorii, tak jak nim jest z współczesnych Zygmunt Freud. I jeśli śmiertelnym przydziela się tytuł Boga, to otrzymać go powinien nie jeden z faraonów, cezarów czy mikadów, ale właśnie Pawłow lub Freud. Nie wolno nam jednak przeoczyć przymiotów, mniej chwalebnych, a dominujących w życiu Pawłowa.

Na główny bodajże rys Pawłowa nie zwrócono należytej uwagi. Był niezwykle ambitny, zarówno, na punkcie swoich poglądów, jak i fizycznej sprawności. W bezpośredniej reakcji obalał niekiedy słuszne poglądy przeciwników tylko dlatego, że nie chciał im w oczy przyznać racji. Dopiero po czasie, gdy zanikła gorąca atmosfera rywalizacji, poddaje się swemu naturalnemu umiłowaniu prawdy i potrafił przyznać w gronie uczniów słuszność opozycji.

Podobnie zachowywał się na punkcie zdrowia. Dotkliwie odczuwał braki, jakie sędzywy wiek z sobą przyniósł. Nie mógł się pogodzić ze świadomością własnej bezsiły wobec starości. Dawniej nigdy nie chodził po kurytarzach pracowni, lecz formalnie biegał (jak u nas fizyk Pieńkowski), teraz musiał kroczyć wolno i statecznie; dawniej kopał codziennie godzinami w swym ogrodzie, teraz męczyła go praca i począł się oszczędzać. Przyznając się wobec uczniów do przegranej, nie zapomniał podkreślić, że w dawniejszych czasach zwykł był chodzić tak szybko, że musiał korzystać z jezdni, nie chcąc roztrącać przechodniów po trotuarze. Takie przyznawanie się i oszczędzanie sił były u niego raczej czymś wyjątkowym. Oburzał się, gdy dowiadywał się, że uczniowie dbają o niego, i dlatego musieli w tajemnicy przed nim tak organizować porządek spraw, aby go nie przemęczać.

Ambicja na tym punkcie nie opuściła Pawłowa aż do ostatnich lat, i ona też była pierwotną przyczyną śmierci.

Traktując w podeszłym wieku swój organizm, jak za młodzieńczych czasów Pawłow wyszedł w zimny dzień w lekkiej jesionce. Ale 87 lat zrobiły swoje, przeziębił się, zapadł na zapalenie płuc i 27 lutego 1936 umarł.

Psychografię Pawłowa warto uzupełnić krótką charakterystyką jego exterieur, podaną przez Bucharina.

Przypominał Darwina. Był tak samo niewielkiego wzrostu, ta sama mądra twarz myśliciela, siwe kępy brwi, biała broda, niebieskie oczy — zwierciadło głębokiej mądrości, piekny ludzki uśmiech, okolony surowymi zmarszczkami, niezwykła radość życiowa i żywotność, ogromna popędliwość, kaskada, wulkan.

TEORIA PAWŁOWA.

Pawłow był najwybitniejszym specjalistą od psiej śliny. Specjalność nieco dziwaczna. Można być wytrawnym hodowcą psów, pierwszorzędnym hyclem, ale karierę robić na psiej ślinie — to rzecz nader osobliwa.

Z żmudnych badań nad psią śliną Pawłow stworzył wielką, szeroko rozbudowaną naukę. Tak często powstają z pracy na fachowym odcinku wiedzy systemy o charakterze światopoglądowym. Psychoanaliza Freuda wyrosła z obserwacji klinicznych nad histerykami, neowitalizm Driescha — z eksperymentów nad regeneracją najniższych żwierząt.

Nauka Pawłowa nazywa się uczenie stawia nam ona życie psychiczne z zewnątrz, ze strony obiektywnej. Miast o myśli, uczuciu i pragnieniu — Pawłow mówi o ich wyrazie zewnętrznym, o ruchu i wynauką o odruchach warunkowych. Przeddzielinie.

Dlaczego Pawłow zmienił front metodologiczny, dlaczego zarzucił tradycyjny sposób badania duszy od strony podmiotowej i zastąpił nastroje radości i smutku, stany namysłu i postanowienia, ruchem i wydzielaniem?

Odpowiedź jest prosta. O stanach psychicznych możemy się bezpośrednio dowiedzieć jedynie na drodze introspekcji, a co za tym idzie — każdy zna tylko swoje przeżycia. Badacz może się jeno domyśleć, czego inny człowiek doznaje, ale nie naukowo poznać, może tylko przypuszczać, ale nie twierdzić. Tym bardziej jeśli idzie o psychikę zwierząt. Jest rzeczą ryzykowną z rechotania żaby podczas sekcji wnioskować — na podstawie analogii z człowiekiem — o jej bólu, gdyż jej przeżycia mogą się gruntownie różnić od ludzkich. Ścisła nauka nie może się opierać na ryzyku. Nauka winna zajmować tym, co jest pewne i sprawdzalne, a nie fingowaniem niepewnych stanów.

Te właśnie sprawdzalne dane, gest, mimika, łzy itd., słowem ruch i wydzielanie, Pawłow nazwał odruchami.

W swych dociekaniach nad psią śliną Pawłow odkrył dwa rodzaje odruchów: wrodzone i nabyte. Pierwsze ochrzcił terminem „bezwarunkowe", drugie — „warunkowe".

Szczenie wydziela ślinę zawsze, gdy spożywa jadło — jest to reakcja wrodzona, odruch bezwarunkowy. Szczenię wydziela ślinę przy zapachu jadła jedynie wówczas, gdy przed tym kilkakrotnie spożywało pokarm o tym zapachu i w ten sposób skojarzyło zapach z jadłem. To wydzielanie śliny przy zapachu jest nabyte, jest odruchem warunkowym. Podobnie nabyte będzie wydzielanie śliny na widok pokarmu. Odruch bezwarunkowy ma bardzo ograniczone pole działania i odruch warunkowy to pole rozszerza do najdalszych granic.

Pies posiada nieliczne odruchy bezwarunkowe; odruch wolności, zabawy, życia płciowego, agresji i one stanowią fundament, na którym wyrastają reakcje nabyte, odruchy warunkowe, tworząc ogromną nadbudowę.

Pawłow odkrył w wydzielaniu się psiej śliny prawidłowość, obowiązującą cały żywy świat. W mowie z 1932 przedstawił ją w sposób krótki i syntetyczny.

Bertrand Russel próbował wyobrazić sobie behariotyzm w prymitywnej postaci: ...W dawnych czasach przypuszczano, że istnieje rzecz, zwana umysłem. Nic podobnego. Są tylko: ciało i ruchy. Myślenie stanowią faktycznie drgania krtani. Gdy nie dawno pewien wybitny intelektualista ożenił się ze znaną tancerką, niektórzy ludzie wyrażali powątpiewanie co do stosowności ich związku. Wątpliwości te nie są na miejscu. Oblubienica ćwiczyła mięśnie nóg, a oblubieniec mięśnie krtani, tak, że oboje byli akrobatami.

I my możemy wyobrazić sobie, jak będzie wyglądała nauka Pawłowa w popularnej ulicznej wersji :

Człowiek nie kieruje swoimi pragnieniami. Umiejętnie wyzyskując jego odruchy bezwarpnkowe, można go ukształtować wedle chęci. Zdarza się często, że dziewczyna wykazuje obojętność wobec mężczyzny. Nic łatwiejszego, jak doprowadzić ją do uległości. Wystarczy stale przebywać w towarzystwie jej ukochanego i miłość samorzutnie i niepostrzeżenie przeniesie się i na przyjaciela tak, jak na zapach jadła przeszła moc wywołania psiej śliny. O ile dziewczyna nie ma ukochanego, należy jej fundować smakołyki i delikatesy. Mimowoli pokocha tego, w czyim towarzystwie zaznaje przyjemności. W tym tkwi głębszy sens dawniej jednostronnie traktowanego przysłowia: „przez żołądek do serca".

Zdobycze Pawłowa mają pierwszorzędne znaczenie dla kultury ludzkiej. Pawłow ujął czynności duszy ludzkiej w żelazne karby stałych praw. Kopernik objawił nam, że ziemia nie jest centrem Kosmosu, Darwin obwieścił nam, że człowiek nie jest arystokratycznym jedynakiem przyrody, a Pawłow zdemaskował duszę, wykazując, że nie jest nieuchwytna, zaświatowa i niedotykalna naukowo, lecz że dobrze podpada pod świeckie prawa.

LION FEUCHTWANGER

FAŁSZYWY NERON

POWIEŚĆ

10)

Przykro mu było, że podczas ostatniej rozmowy z Varronem był dlań nieco szorstki. Bez względu na to, jak trudne do zniesienia było zachowanie się tego człowieka, chętnie zapytał by go teraz o zdanie. Ucieszył się, gdy senator pokazał się dnia pewnego w pałacu namiestnikowskim; Varro bowiem długo nie dawał znaku życia o sobie, będąc widocznie urażony, że wbrew jego radzie uznano Pakora.

„Ładne rzeczy wyprawiacie w tej waszej Edessie, — zaczął wesoło gubernator, chcąc zachować się z wielkoświatową lekkością. — „Czy jesteś poinformowany, mój Varronie?" „Tak, — odparł Varro, — mój administrator Leneusz przysłał mi dokładny raport." „Oto masz ten twój Wschód" — gderał z udaną dobrodusznością Ceion. „Dawno już ci o tym mówiłem, — odparł pogodnie, ale i poważnie Varro. — Powinieneś był stanąć po stronie Artabana". „Czy myślisz poważnie, — spytał gubernator i, zrezygnowawszy z niedbałej pozy, usiadł sztywno, pełen napięcia, — że między pretendentem Artabanem i tym oszustem istnieje jakiś związek?" „Przecież to całkiem oczywista, — wzruszył ramionami Varro, — że panowie z Edessy i ty nie pasujecie do siebie jak dłoń i rękawiczka po tym ciężkim ciosie, jakiś im zadał, uznając Pakora. Bez pobłażania władz Edessy ta historia z samozwańczym Neronem nie mogłaby posunąć się tak daleko." Jakiż interes, — spytał znów Ceion — mogą mieć władze Edessy w popieraniu tego drobnego nieważnego hultaja?" „Władze Edessy, — tłumaczył niedbale Varro, — mają właśnie w popieraniu pretendenta Terencjusza taki interes jak w popieraniu pretendenta Pakora. Pragną wpakować cię w niewygodną sytuację. I zdaje mi się, że to im się udało."

Ceion postanowił wysłuchać go spokojnie i poprosić o radę, jak Rzymianin Rzymianina, i tym razem przemyśleć jego słowa bez niecheci i usłuchać ich o ile to będzie możliwe. Nie mógł jednak przeszkodzić temu, że wzbierała w nim ciągle narastająca złość na widok swobodnie, z poczuciem wyższości z nogą założoną na nogę, siedzącego Varrona, wygłaszającego słowa, które niestety były równie słuszne, jak irytujące. „Naturalnie, powinienem był stanać po stronie Artabana, — myślał Ceion. — Na tym przeklętym Wschodzie trzeba iść zawsze jak najkrzywszą i jak najdalszą drogą. Prosty, przyzwoity człowiek, jak ja, nie posunie się tu naprzód. Wszędzie wznosi się nieprzebyta dziewicza puszcza i gdy się już przebiło w niej drogę dobrym rzymskim mieczem, staje się przed nową gęstwiną, a droga poza człowiekiem zdążyła tymczasem zarosnąć. Jasne jest, że na takim terenie taki Varro lepiej sobie daje radę, ten hultaj, ten podstarzały [illegible]. Poza tem zaś miał czas, aby się zaklimatyzować."

„Poza tym — usłyszał głos Varrona, — naprawdę trudno by było królowi Mallukhowi i arcykapłanowi Szarbilowi wystąpić przeciwko owemu człowiekowi w świątytyni Tarate, nawet gdyby mieli dobrą po temu wolę. Cała ludność po tamtej stronie Eufratu jest przekonana, że człowiek ten jest cesarzem Neronem".

„Donoszono mi o tym, — przyznał niechętnie Ceion. — Ale nie mogę sobie tego wyobrazić. Zapewne, ci ludzie Wschodu są zabobonni. Poza swą zewnętrzną przebiegłością i sprytem są niewypowiedzianie głupi i pozwalają wmówić sobie największe brednie. Żywią się bajkami i legendami. Nic dziwnego, że taki naród, choć tak bardzo liczny, daje się ująć w cugle takiej rozsądnej mniejszości, jak my, Rzymianie. Ale, — obruszył się, — takiego nonsensu jak ten, że Neron żyje nie mogą chyba przełknąć. Większość mieszkańców Edessy umie czytać i pisać. Czy myślisz isttotnie, że dadzą się wziąć na tak prymitywne oszustwo?" ,

Varro kołysał w zamyśleniu mięsistą głową. „Ten Terencjusz, — zauważył, — zresztą jeden z moich klijentów, bardzo sprytnie ukuł swoją historię. Mianowicie, że wówczas zamiast cesarza zmarł mój Terencjusz, o którym wiedziano, jak bardzo podobny był do Nerona, i że człowiek, ktcry pcźniej występował jako Terencjusz, jest prawdziwym Neronem — to brzmi wcale dobrze. Tutaj na Wschodzie, myślę, w odległości pięciu tysięcy kilometrów od Rzymu".

Mimo to Ceion oburzał się dalej: „Czy to są całkiem zakute głowy? Z jakiej racji, na Herkulesa, miałby się ten garncarz Terencjusz podać żołnierzom senatu za cesarza i dać się zabić za niego?" „Tutaj na Wschodzie, — wyjaśnił przyjaźnie Varro, — nie rozpowszechniła się jeszcze wieść o tym, że wierność rzymska już nie istnieje. Sam przecież przed chwilą stwierdziłeś, mój Ceionie, że mamy do czynienia z barbarzyńcami. Ci barbarzyńcy wierzą jeszcze całkiem poważnie, że w takim wypadku Rzymianin umiera dla swego cesarza".

Ceion opanował niechęć i oparł się pokusie wyprostowania się i ostrego osadzenia Varrona. „Twoje aforyzmy są piękne, mój Varronie, — odrzekł z uznaniem i zdobył się nawet na uśmiech. — Ale powiedz mi w zwykłej łacinie: czy ten oszust ma jakieś widoki? Czy mogę liczyć na to, że historia ta skończy się sama przez się? Czy też mam wystąpić energicznie?"

Varro poważnie przyjrzał się gubernatorowi, język jego powoli przesunął się z jednego kącika ust do drugiego. — „Czy mój Terencjusz ma widoki? — powtórzył w zamyśleniu. — Widzisz, mój drogi Ceionie, — pouczał gubernatora, — ludziom w Edessie nie powodzi się dobrze. Mają do płacenia wysokie podatki, przy przewrocie mogliby tylko zyskać. Jeśli ktoś przyjdzie i oświadczy, że zniesie podatki, to wszędzie po tamtej stronie Eufratu znajdzie chętny posłuch. Jeśli zaś za tym kimś staną zręczni ludzie, którzy go poprą,, to będzie mógł się długo utrzymać:"

„Jesteś zatem zdania, — spytał w napięciu Ceion, — że poza tym oszustem stoi Artaban?" Varro wzruszył wymownie ramionami. „Nie wiem tego", — odpowiedział i spojrzał cicho i prosto w oczy Ceiona. Po raz pierwszy przemknęła Ceionowi myśl, że może między tym zuchwałym Terencjuszem i tym oto Varronem istnieje jakiś związek i zrozumiał nagle niewyraźne i ostrożne napomknienia swoich ludzi. Natychmiast jednak odpędził tę myśl od siebie. Wiedział przecie, sam na to patrzał, że Varro spędził cały ten czas tu, w Antiochii, pogrążony w rozpuście w Daphne. Tak skomplikowanym przedsięwzięciem nie można było w żaden sposób kierować z odległości. I w ostateczności Varro jest Rzymianinem. Cóż za pomysły przychodzą do głowy jemu samemu na tym zwariowanym Wschodzie. Nie, nie powinien dać się zaprowadzić zbyt daleko swej antypatii dla Varrona.

„Nie bierz tej sprawy zbyt lekko, mój Ceionie, — odezwał się teraz łagodnie Varro. — Nie powinieneś nie doceniać siły pogłosek i legend. Legendy mają dzięki swej naturze wyższy kurs, niż prawda. Z pomocą pewnej propagandy można każdą legendę wprowadzić w życie. A cóż dopiero tak wzruszającą historię, jak ta o wierności i poświęceniu się garncarza Terencjusza dla swego cesarza Nerona. Przypomnij sobie, mój Ceionie, — dodał poważnie — że ostrzegałem cię od samego początku. Powtarzam teraz moje ostrzeżenia. Nie znasz Wschodu. Przeżyjesz tu jeszcze niejedno."

Ceion nie mógł już dłużej spokojnie usiedzieć w swym fotelu. Wstał, jął chodzić tam i z powrotem. Co raz bardziej gniewała go historia samozwańczego Nerona. Varro był Rzymianinem. Nie zawiedzie w chwili, gdy chodzi o ważkie interesy Rzymu. „Ty, mój Varronie, — rozpoczął, — byłeś bliskim przyjacielem Nerona i, naturalnie, dobrze znasz garncarza Terencjusza, twego klijenta. Ty jesteś człowiekiem, który może zlikwidować tę nieprzyjemną sprawę. Jeżeli pojedziesz do Edessy, obejrzysz własnymi oczami tego hultaja, potem zaś wyraźnie powiesz całemu światu, kim on jest, to — na Herkulesa — zrobisz koniec z tym oszustwem". Varro cieszył się wewnętrznie. Straszak był już do tego doprowadzony, że przychodzi i prosi. Głośno jął rozważać: „Tak łatwo się to nie da zrobić. Im jakaś sprawa wydaje się jaśniejsza, tym subtelniejsze i zawilsze muszą być tu na Wschodzie metody, mające uczynić ją wiarygodną". Trochę zniecierpliwiony, Ceion spytał: „Czy zechcesz zatym zastosować te subtelne i zawiłe metody? Czy mam ci dać pełnomocnictwo?" „To bardzo uprzejmie z twojej strony, — odparł Varro. — Ale wyobrażasz sobie tę historię znacznie prościej, niż jest w istocie. Nie uważaj mnie za człowieka nieuczynnego, mój Ceionie. Gdybyś się był do mnie zwrócił wtedy, gdy ta cała afera była jeszcze w zalążku, mógłbym ci był za to gwarantować, że szybko doprowadzę ją do porządku.

(C. d. n.)

Roman Brandstaetter

Śmierć Żyda i brzemię wieczoru*)

Potem zapalała twoja prababka świece w srebrnych lichtarzach; dziewięć zapalała świec, za które twój pradziad płacił suty podatek w gminie. Drżącym głosem błogosławiła sobocie nad jasnym płomieniem świecy; zakrywszy oczy dłońmi, szeptała cichuteńko święte słowa modlitwy.

O soboty spokojne! O plecione świece, o hawdalo pachnąca, o rozdzwonione wieżyczki, o wschodnie wonności, i korzenie, o śliczne wieżyczki, ozdobione ptaszkami, owocami i wiotkimi gałązkami!

Gdzież się zapodział wasz świergot i cichy szelest?

Owionął je mrok domu niewoli.

A mrok ten opłynął też skronie reb Icchoka.

W wezbranych nurtach rzeki Rudawy, w czasie krwawego tumultu zginął twój pradziad, do ostatniej szepcąc chwili zbielałą wargą słowa: Szma Israel Adonaj Elohejnu, Adonaj Echad.

Działo się to w piątek w ciepłe, kwietniowe południe. Na drogach starły się już zeschłe, twarde koleiny, a na szczytach górskich tajał śnieg. W żydowskiej winiarni, leżącej opodal domu twojego pradziada, dwaj uczniowie przezacnej Akademii, podochociwszy sobie, Żydowi należytości za trunek i jadło zapłacić nie chcieli. Ponieważ obcesowo w oczy Żydowi patrzyli i sprośnymi wyzwiskami obrzucali go, — ów za próg wyrzucił niesfornych żaków. Uczniowie rumoru i hałasu wiele uczyniwszy, mieszczan i pospólstwo przeciw Żydom podjudzili krzycząc, że ich Żyd obił, niesprawiedliwymi słowy zmyślał, przyczym bluźniercze słowa przeciw wierze chrześcijańskiej miotał. Lecz mimo oporu oddziału miejskich żołnierzy, którzy ognia z samopałów dawszy kilku z rozjuszonego tłumu trupem położyli, — pospólstwo, zbrojne w pałki, drągi, koła i szable w ghetta wdarło się, sklepy żydowskie plądrowało, paliło, łupiąc mnóstwo bogactw i kosztowności, które potem w dołach kloacznych i w piasku ukryte znaleziono. Żydów despektowano, bito najswawolniej i najsprośniej, zabijając i tych, którzy do miasta z towarami przybyli, co reszta Żydów zoczywszy, poczęła uciekać do domów, chcąc uchronić się przed śmiercią i rabunkiem.

A było wówczas ciepłe, kwietniowe południe. Na drogach starły się już zeschłe, twarde koleiny, a na szczytach górskich tajał śnieg. Z niskich połonin woda z głośnym bulgotem ściekała do wezbranej rzeki.

O tej chwili przechodził twój pradziad ulicą Blacharską. Skoro zdala pospólstwo plądrujące zoczył uciec zamierzał. Już stał na progu swego domu, gdy spostrzeżony został przez rozbestwioną gawiedź. Dopadli twego pradziada na progu domu! Na świętym progu, wyciosanym z polskiego drzewa, z twardego dębu, który w gęstwinie białowieskiej puszczy poto ku niebu pnął się, by teraz boleśnie zaskrzypieć pod ciężarem ciała bitego Żyda.

Tłum przez chwilę w gniewnym pomroku nad nim trwał. Drapieżny las drągów, kłonic, szabli i pięści złowrogo ku górze wzniósł się, a rozpalone twarze jak miedź świeciły. Oczy, wyszłe z orbit, gorączkowe spojrzenia rzucały.

Tłum zadygotał jak gęsty bór pod nieprzezwyciężonym naporem burzy, co waląc z góry, błękitnym zygzakiem błyskawicy wstrząsa smukłymi pniakami od wyschłego wierzchołka po szeroki odzienek. W ohydnej radości patrzyli na twego pradziada, leżącego bezbronnie u ich stóp. Na kłębek drżącego ciała.

Bij Żyda!

Krzyk ten ze środka ludzkiej nawałnicy wysączywszy się, rozpłynął się nad motłochem, aż wreszcie bezszelestnie zgasł nad omdlałym ciałem Żyda. Tłum runął. Z pod kłębowiska ludzi, ochłapów przekleństw, wymyślań i wycia, z pod ruchomej człowieczej góry, — zduszony ryk walił pod niebo, na pola i puste drogi. Potężniał. Drgał wszystkimi strunami rozpaczy, targał się w bolesne strzępy, to znów błagalnymi tonami jęków w górę wylatał. Rósł, przechodził w pisk zmieszany z płaczliwym zawodzeniem, aż nagle urwawszy się, martwiał i stokroć groźniejszą ciszą przerażał i niepokoił.

Pradziad twój twarz do kamieni przytulił, paznokciami w twarde kamienie wgryzł się, w tę polską ziemię, co paradisus judacorum być miała. Bolejącym ciałem do tej ziemi przywarł, miłośnie ją obejmował, chcąc się w nią zapaść, wgrzebać i rozpłynąć w niej jednocześnie. Czuł na sobie spojrzenia źrenic zdradzieckich, które piekąc, przebijały go na wylot, rozdzierały, pławiły się w jego krzyku, w jego umęczonym ciele, co rozpostarło się na progu, wyciosanym z polskiego drzewa, jak na krzyżu.

Wówczas naigrawać się z niego poczęli, za brodę skubać, za pejsy tarmosić, od żółtków i obrzezańców wymyślać, kijami po głowie okładać, wreszcie porwawszy go na ramiona wśród ogólnej uciechy, hultajstwa, a okrutnego i bolesnego wrzasku współplemieńców, — okrwawionego i obitego na brzeg Rudawy zawlekli i tam w głąb wezbranej rzeki rzucili. A gdy pradziad twój pół żywy, w rozpaczliwej walce o życie chwytał się nadbrzeżnych gałęzi, rakarz miejski, którego pospólstwo nad rzekę sprowadziło, mieczem ciął w jego dłonie, aż Żyd krwią ochłapany, pogruchotane ręce bezsilnie ku górze wyrzucając, a modlitwę przez zaciśnięte wargi szepcząc, pod wodą poszedł, żegnany radosnym krzykiem rozbestwionego pospólstwa.

A było wówczas ciepłe kwietniowe południe. Na drogach starły się już zeschłe, twarde koleiny, a na szczytach górskich tajał śnieg. Z niskich połonin woda z głośnym bulgotem ściekała do rzeki. Na łąkach, okrywających się rzadkim puchem traw, wykwitały pierwsze pierwiosnki i kluczyki. Już drozdy wróciły, a ich śpiewem rozbrzmiewały wszystkie drzewa. Bór, jak wstrząśnięta lutnia, drgał od ich wdzięcznych dźwięków, kołysał się rozdzwoniony i wtórował im zgodnym szelestem wierzchołków. Sikorki, uwięzione na gałęziach kuły kruchą korę, a w głębiach zielonej gęstwiny cicho szeleściły bekasy, szukające skwapliwie pożywienia w glinie i w zaroślach. Już nawet jarzębina, dziwnie wyrastająca na ogłowionym pniu spróchniałej wierzby, objęła ją splątanymi nagle korzeniami i poczęła wypuszczać pierwsze pęki pękowia. Z nad mokrych mlak monotonny głos dudków nadpływał, rozlegający się szeroko po polach, zagajnikach, po brzegi rzeki, która pochłonęła ciało twego pradziada, by je potem wyrzucić gdzieś na bezpłodnym ugorze. A za rok ugór ten użyzniony ciałem twego pradziada, pokryje się bujną, soczystą trawą. Polską trawą.

A ty teraz patrzysz z okna twego domu ku tej rzece, obejmujesz spokojnym spojrzeniem jej błękitny bieg i nie czujesz już ku niej żadnej nienawiści ani żalu. Jesteś teraz spokojny. Może jeszcze przed chwilą, gdy wstępowałeś w mrok historii, nigdy nie przebrzmiałych wypadków, zdawało ci się ta rzeka piekielną otchłanią, groźnym znakiem przeszłości, krwawą pręgą, biegnącą przez całe twe ciało, od głowy umęczonej aż do umęczonych stóp. Teraz jednak wiesz już, że to wszystko, co działo się ongi nad jej brzegami musiało się dokonać w imię nieubłaganego prawa dziejów. Albowiem gdyby nie męczeńska śmierć twego pradziada, ty nigdy nie stałbyś tutaj przy tym zakratowanym oknie, z wielką ciszą w sercu, z ciepłymi słowami pożegnania na rozpalonych wargach, w przeddzień powrotu do ojczyzny, czekającej na twój trud, mękę i garść chłodnego popiołu. Albowiem gdyby nie śmierć twego pradziada w nurtach tej rzeki, którą teraz podziwiasz w blasku wieczornego słońca, płonącego jak zamglona latarnia nad drzewną powałą ciemniejącego boru, — nie dźwigałbyś w sobie świętego przeznaczenia wiecznego narodu, okupującego krwią, ciałem i duszą małość i podłość świata. Albowiem twój pradziad, choć nie świadom swego posłannictwa, cierpiał za ciebie, daleki potomku, za twój dzisiejszy szczęśliwy powrót do ojczyzny i za chwilę radości, którą teraz przeżywasz. Więc wspomnij boleść jego i pochwal ją pokornym słowem. I wspomnij też winę tej ziemi i przebacz jej w obliczu dzisiejszego z nią rozstania.

I pochwal tę rzekę.

Zstąp ku niej powoli ze wzgórza. Idź ciemną aleją olch. Brunatne, jedwabiste kotki, kołysane lekkim powiewem wiatru, rozsypią się przed tobą w złocisty pył. Ciszę zmąci jedynie suchy szelest spadających szyszek.

Wsłuchaj się w bezustanny, miarowy szum wody. Toń, głośno bulgocące sennym sykiem, lizać będzie brzeg ostry jak ostrze brzeszczotu. Na środku rzeki zakłębi się wir i czarnym, niewidzialnym lejem wciągnie w swą głębinę masy pędzącej wody, zmąconej piaskiem i żwirem. Opodal wiklina szelestem lepkich, młodych prętów powtórzy szum rzeki i zakołysze się lekko, jakby zazdrościła fali jej płynności.

Wówczas pokornie pochylisz się i zimną kościstą dłoń zanurzysz w rzece. Woda przecieknie przez twe rozwarte palce. A ty poczniesz bezsłownie chwalić bystrą, strumienną rzekę. Pochwalisz ją przez umęczone ciała twych braci, przez setki spędzonych nad nią laty, przez słodycz twego dzieciństwa i przez gorycz twej młodości.

Powoli podniesiesz się i poczniesz kroczyć brzegiem rzeki, brodząc w ilastym mule wśród chrzęszczących gałęzi i trzaskających muszli. Nad ciemne góry, wtopione w mrok nocy, wzejdzie ogromny księżyc i opryska złotem wilgotną twą dłoń, na której lśnić będą żywe, drgające krople świeżej wody. A tobie niech się zdaje, że to krople krwi twego pradziada. Amen.

*

Z biegiem lat powoli odmieniały się świadectwa tych zbrodni, ulice przybierały inny wygląd, ręce ludzkie przebudowywały zniszczone bóżnice, wznosiły mury nowych domów na miejscu dawnych, spalonych i z ziemią zrównanych; a owe kamienie znowu świeżą krwią nasiąkały i znojem świeżym i znów ku ziemi pochylały się, jak ci nowi ludzie, co na świat przychodzili ciężarem świętego dziedzictwa obarczeni. Lecz choć częste pożary nawiedzały ciasne ghetto, choć motłoch w czasie tumultów wiele domów burzył i palił, — dom twoich pradziadów wieki przetrwał. Musiał przetrwać. Trwał widomy znak żydowskiej niedoli, jak kamienna wiekowa płyta na cmentarzu, mchem obrosła, zczerniała od wiatrów i deszczów.

Dziwny dom. Dom, w którym wiele lat przeżyłeś, lecz za nim nie tęsknisz. Dom, w którym urodziłeś się, lecz nie chcesz w nim umrzeć. Dom, który kochasz, lecz czekasz niecierpliwie na chwilę, gdy go nienawidzisz. Dom, który błogosławisz, lecz chciałbyś go przekląć i wymazać ze swej pamięci. Albowiem jeszcze dźwigasz w sobie, w krwi twej i w ciele twym, w sercu i w duszy, tajemnym prawem dziejów, — krajobraz słonecznej ojczyzny, wspomnienie domu białego, ukrytego w pierścieniu smukłych cyprysów. Cień tego białego domu padł na twe młode skronie, na oczy, lśniące tym samym blaskiem, jakim płonęły źrenice twoich pradziadów, który — czy im działo się dobrze czy źle, czy żywot żebraczy wiedli, czy w bogactwach wielkich pławili się, czy spoczywali na wiązce cuchnącej słomy pod niskim pułapem izby zakopconej, czy na łożu ozdobionym inkrustami — zawsze i wszędzie o Ziemi Obiecanej śnili sen niedościgły i roili obrazy fantastyczne radosnego do ojczyzny powrotu. Na ziemiach rozległych, gdziekolwiek ich stopa stanęła, na morzach burzliwych, gdy w gonitwie za pieniądzem w dalekie puszczali się podróże, to znów — w cieniu pogodnego nieba, pod koroną gwiaździstej nocy, — zawsze i wszędzie tęsknili za ojczyzną daleką, która coraz mglistsze przybierając kształty, tym więcej ich ku sobie przyciągała i szczęśliwością wielką mamiła. A gdy wśród kolei codziennych utrapień, w pośpiesznej gonitwie za chleba kromką, lub w gwarze doczesnych uciech, oszołomieni pięknością świata, ciągnącego się poza murami ghetta, po tamtej stronie życia — na chwilę o niej nieopatrznie zapominali, to potem w czas nocy nieprzespanych, w snach gorączkowych i wizjach koszmarnych męczyła ich ta ziemia daleka i krwawiła jeszcze stokroć boleśniejszą i nigdy nie zagojoną raną. A znów niekiedy — ciemnym oczom niespodzianie jawiła się ta ojczyzna rajem zielonym, — ziemia szumiąca palmami i obfitym owocem, złocąca się zbożem ciężkim, miodem płynąca, — tłusta skiba płodami żyznymi ciężarna — ciernisty krzak, pod którym spocząć można spokojnie, — dom na ścieżaj otwarty, czekający na powrót rozproszonych dzieci, — dłoń najczulsza, dłoń najbielsza, która głowę synowską ująwszy, ból wszelki ułagodzi, ciepłem nakarmi usta zziębnięte, a skroniom rozpalonym będzie wezgłowiem miękkim. Nikogo od siebie nie odepchnie i nikim nie pogardzi.

Dziś ta dłoń czuwa nad tobą.

Więc zamknij foliał tych zamierzchłych czasów. Ucałuj ten pergamin. I spójrz nań poraz ostatni.

Na pożółkłych pergaminach znaczonych krwią skruszałych pieczęci, osiadł pył. Pamiętasz: szary pył. Przed laty, wczytując się z rosnącą ciekawością w te milknące akta, nieświadomie palcem wodziłeś po tym pyle, rozcinając jego martwą powierzchnię w głupie brózdy. Siedziałeś wówczas przy oknie, przez które teraz patrzysz. Obok stało pod ścianą wysokie, pozłacane lustro, naprzeciw — ceratowa kanapa i brązowa szafa, na środku pod lampą gazową — szeroki, dębowy stół; te drzwi, dziś już podrapane, ongi połyskujące nieskazitelną bielą lakieru, prowadziły do gabinetu twojego ojca, tamte zaś — do salonu, pełnego zielonych, miękkim pluszem wyścielanych foteli i ciężkich kredensów, błyszczących mosiężnymi okuciami. A tutaj pod oknem stało łoże, na którym skonał w majowy dzień twój dziadek. Znałeś go wysokim białym starcem, przechadzającym się powoli w cieniu rozłożystych kasztanów, po równych ogrodowych alejach, pachnących pękami młodych róż. Opromieniony sławą swojego nazwiska, miał już wówczas w oczach spokój przeżytych lat, w sercu jego zagasły już burzliwe namiętności życia, gorące uczucia zamieniły się w szary popiół, a łagodny, dobry uśmiech okalał jego wargi. Cisza, jak anioł pochyliła się nad jego barczystą, krzepką postacią.

Umarli ludzie.

A sprzęty

Gdzież się podziały te meble z życiem twego dzieciństwa zrośnięte, te niespokojne duchy, skrzypiące w ich spojeniach, te stoły uginające się w czas zmierzchu pod kosmatym ciałem mroku, te szafy pęczniające w szerokobarczyste i wielorękie potwory, to lustro zaczajone do skoku u progu pokoju jak centkowana pantera. Gdzież się podziały te meble, które tajemniczym czarnoksięstwm swych ciemnych wnętrz wzbiły cię ku sobie, jak lądy dalekie i nieznane Gdzież się podziały te dywany uroczyste, na których dzieckiem będąc, wiłeś szalone sny o niebezpiecznych podróżach, wpatrując się z przerażeniem w wizerunki lwów w serpenty nowe cielska wężów, w pnie niesamowitych drzew, — w utkane wzory różnobarwnych kobierców.

Wszystko minęło. Bez śladu rozpłynął się poranek twojego dzieciństwa. Pozostał tylko po nim szary pył, dziś pocięty w długie brózdy wspomnień. Tak jak zżółkły foliał dawnych akt. Lecz niema w tym przemijaniu, w luku fali przelewającej się nad twoją głową — żadnych tragedii. Tak jest, tak być powinno, tak zawsze będzie. Kiedyś po wiekach, ktoś dobry i wyrozumiały też pochyli się może nad dziejami twojego życia i też może nieświadomie palcem błądzić będzie po milczącym pyle, okrywającym pismo, w którym zaklęte będzie całe twoje życie. I też może sądzić będzie twe uczynki, ważyć będzie twe uskrzydlone wzloty i ciemne upadki, przebaczy ci gorzkie zwycięstwa, któreś nad ludźmi odniósł, a twoje klęski — zliczy i pochwali. Nad grzechem twym podali się, a pomiędzy tobą a najbielszą ofiarą sąd sprawując, smagać cię będzie słowem surowym, bezlitosnym i zimnym; pamięć o tobie cieniem smutku się oblecze, zachmurzy się cisza, otulająca wspomnienia twej postaci, a ty — wówczas smuga światła, padająca na oczy oskarzyciela — drżeć będziesz w chmurze złotego pyłu, mroku się trwożąc, który za chwilę ogarnie cię całego, wciągnie w swój chłodny bezmiar i zamknie się nad tobą.

Lecz teraz — podnieś powieki. Nie smuć się więcej. Spójrz po raz ostatni. W dali czerni się stroma ściana boru. W górze ciągną się szpilkowe lasy, podkreślające zieloną smugą Wyrazistość horyzontu; w dole rosną dęby, świerki i buki. W kotlinie pod wydmuch i wiatrowisko świszczących burz skalnych, świerki wraz z lukami zgęszczają się w nieprześwietlony bór, jaskiniami i jamami skośnookich borsuków. Tam pomiędzy drzewami lśnią często wypukłe oczy i czarne rogi kozicy; czasem niespodziewanie błyska biała i połyskująca sierść capa. A tam, na dnie doliny popielatą smugą wije się droga. Z tru-

(Dokończenie na str. 8.)

*) Dokończenie opowiadania pt.: „Tobie, ziemio polska", ob. numer poprzedni (9) „Steru".

Dr. Leopold Dreher

Ojciec Esperanta

(w 20-lecie zgonu dr. Ludwika Zamenhofa)

W dniu 14. kwietnia b. r upływa 20 lat od śmierci twórcy języka Esperanto, Dr. Łazarza Ludwika Zamenhofa (15.XII 1859 — 14. IV. 1917). Kim był człowiek, któremu ludzkość zawdzięcza powstanie pierwszego sztucznego języka międzynarodowego?

Odpowiedź na to pytanie daje „Zbiór dzieł Zamenhofa", poteżny tom artykułów i rozpraw, mów i listów genialnego twórcy języka pomocniczego. Streszczenie różnorodnych przejawów działalności Zamenhofa, zawartych w „Zbiorze", nie jest oczywiście do pomyślenia. Ciekawa jest natomiast sylwetka człowieka, który — powiedzmy to od razu — tworząc język, nosił się jednak z znacznie większym i głębszym zamiarem. Zamenhof nie był uczonym lingwistą, dla którego język jest celem samym w sobie.

W jednym z listów Zamenhofa znajdujemy wyjaśnienie pobudek, które skłoniły młodziutkiego studenta żydowskiego, członka ówczesnego związku chowewesyjońskiego w Białymstoku, do ślęczenia nad sztucznym językiem.

Myśl stworzenia takiego języka powziął, bedac jeszcze uczniem niższych klas gimnazjalnych w Białymstoku. Ludność tego miasta składała się z czterech elementów: Polaków, Rosjan, Żydów i Niemców. Różnice językowo-kulturalne, dzielace te cztery narodowości, doprowadziły w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia do częstych nieporozumień i konfliktów, ba nawet do nienawistnych wystapień, zwłaszcza antysemickich — do krwawych pogromów. Te ostatnie działały na wrażliwą dusze młodego chłonca żydowskiego deprymujaco.

„Uczono mnie, że wszyscy ludzie są braćmi, tymczasem na ulicy i na podwórzu, na każdym kroku dawano mi odczuć, że ludzie nie istnieją: istnieją tylko Rosjanie, Polacy, Żydzi, Niemcy i t. d. Robiło to na mnie straszne wrażenie, cierpiałem z tego powodu katusze zwatpienia. Niejeden zapewne wyśmieje mnie za ten dziecinny „Weltschmerz".

„Zdawało mi się wówczas, że „dorośli" posiadaja snać wszechwładzę i siłe, skoro wolno im bez przeszkód popełniać takie bezceństwa. Ubzdurałem sobie, że gdy i ja będę dorosłym, usunę zło panujace tak wszechwładnie w świecie dorosłych".

Z czasem Zamenhof przekonał sie, że zło nie da się tak łatwo zwalczyć, jak to wydawało się dziecku. Różne pomysły utopijne, jakie nurtowały w jego umyśle, odrzucał po kolei; jedynie myśl stworzenia języka wspólnego dla rozdzielonej ludzkości zapuściła w tym czasie głębsze korzenie i nie opuszczała go.

Z początku myślał o łacinie. Nosił się z planem objeżdżania całego świata cywilizowanego i propagowania sprawy odrodzenia języka starożytnego Rzymu, jako języka wspólnego. Już jednak przy nauce łaciny w gimnazjum przekonał się, jak trudna jest łacina, jak mało przystosowana do potrzeb świata nowoczesnego. Należało ją unowocześnić, uprościć, jednym słowem przerobić i stworzyć coś nowego. W ten sposób doszedł do języka sztucznego.

Długie lata pracował nad swoim językiem. W czasie studiów lekarskich we Wiedniu, miał już język prawie że gotowy, jednak tymczasem w domu ojciec spalił mu notatki i szkice języka, nie chcąc, by syn „zawracał sobie głowę bzdurami", jak mawiał; to nie pomogło: młodzieniec skończył studia, uzyskał dyplom, jednak swojej idée fixe nie zapomniał. W 2 lata po promocji nowo zaślubiona żona Klara ze Silberników pomogła mu wydać broszurkę z pieniędzy posagowych, gdyż o wydaniu „utopii" przez jakiegokolwiek zawodowego wydawcę mowy być nie mogło.

Był wówczas początkującym lekarzem, bez większej praktyki, totez obawiał się, że jeżeli wiadomym się stanie, że zajmuje się czymś podobnym straci resztkę klijenteli. Broszurę wydał przeto pod pseudonimem „Dr. Esperanto", t. j. Dr. Spodziewający się. Ten pseudonim stał się potem nazwą samego języka.

Zamenhof nie był predysponowany na organizatora olbrzymiego ruchu, jaki pragnął zapoczątkować celem zrealizowania swojej idei. Był nieśmiały z natury, niepozornego wyglądu, bez należytej dykcji, nie umiał nawet dać należytego wzoru wymowy Esperanta, choć taki wzór był potrzebny tysiącznym rzeszom różnorodnych narodowości, dla których był przeznaczony. Inni musieli podjąć dzieło sutora.

Niemniej pozostał po wsze czasy nieprzybranym źródłem wiedzy o duchu języka, który stworzył. Po dziś dzień esperantyści wszystkich krajów i narodowści uważają Zamenhofa za wzór poprawności języka i stylu. Z jakim pietyzmem odnoszą się zwolennicy Esperanta do osoby jego twórcy, świadczy fakt, że teksty zamenhofowskie są przedmiotem ciągłych, żmudnych badań, wychodzą słowniki wyrażeń zamenhofowskich, monografie językowe, oparte na dziełach oryginalnych i tłumaczonych Zamenhofa itd. itd. Pozostawił bowiem po sobie nie tylko gramatykę tego języka, ale i pokaźny zbiór dzieł beletrystycznych i naukowych, tłumaczonych przez niego, z kompletnym Starym Testamentem na czele.

Życie prywatne Zamehofa odbiegało daleko od aureoli Mistrza, jaka stała się udziałem jego za życia. Ani bowiem najwyższe odznaczenie Rządu fancuskiego w postaci przyjęcia go w poczet członków „Legii Honorowej", ani analogiczny „order Izabeli Katolickiej" otrzymany od Rządu hiszpańskiego (!), nie dawały utrzymania jemu i jego rodzinie.... Klijentela składała się głównie z ubogich Żydów, którzy okulistę Zamenhofa cenili, ale do płacenia przeważnie nie byli skorzy.

Sylwetka Zamenhofa nie była kompletna, gdybyśmy nie zaznajomili się z jego poglądami społeczno-narodowymi. Ze wspomnianego zbioru jego dzieł wynika, że uważał się w pierwszym rzędzie za członka całej ludzkości (po esp. homarano).

Ciekawa jest próba Zamenhofa rozwiązania problemu narodowościowo-religijnego, próba, która oczywiście wydawać się musi daleką od urzeczywistnienia: Jako człowiek myślący kategoriami ogólno-ludzkimi, marzył o stworzeniu światowego związku, którego celem byłaby realizacja t. zw. hillelizmu, idei czystego człowieczeństwa, o wzniosłych zasadach, opartych na miłości bliźniego. Dla ścisłości trzeba zaznaczyć, że idea ta ku prawdziwemu zmartwieniu twórcy nie znalazła nawet wśród esperantystów wielu zwolenników.

Mimo takich ogólno-ludzkich zapatrywań, nie zapierał się bynajmniej żydostwa, z którym związany był tysiącznymi nićmi, i którego prześladowania w carskiej Rosji potępiał niejednokrotnie na światowych kongresach esperantystów w swoich uroczystych mowach inauguracyjnych. Uważał jedynie, że jako jednostka potrafi o wiele więcej zrobić dla dobra uciskanego ludu żydowskiego, pracując nad rozpowszechnianiem pokojowej idei języka wszechludzkiego, którego był prawdziwym ojcem i rodzicem.

Śmierć Żyda i brzemię wieczoru

(dokończenie ze str. 7)

dem wspina się ku górze, wreszcie zmęczona, zasapana, wśród obłoków kurzu dopada, miasteczka, biegnie pomiędzy maleńkimi, odrapanymi domkami, przylegającymi trwożnie do siebie, a rozgałęziwszy się w kilka krętych wąziutkich uliczek, dumnie wtacza się na stary Rynek, i przeszedłszy w ulicę Blacharską, pędem zbiega ku dołowi, ku sadom, ogrodom, zielonym kotlinom. Lecz przed domem waszym droga jest najszersza. Jakby honor czyniła temu domostwu, które tu przetrwało przez wieki, poprzez wszystkie najazdy, pożary, tumulty. Jakby pokłon oddawała tym oknom, które patrzały no krwawe zamieszki. Jakby w tym swoim biegu niepowstrzymanym, w tej wędrówce dookoła świata, — na chwilę, na jedną drobną chwilę przypadała pokornie do krwią zbryzganych wrót twego domu i całowała je w milczeniu. Jakby hołd składała tobie, któryś dzisiaj przybył tutaj, aby zadumać się nad losami tego, który ongi pierwszy z twojego rodu do Polski przywędrował, — aby się pokłonić tobie, który dziś pierwszy z twego rodu Polskę opuszczasz.

Tą drogą przybył twój pradziad i tą drogą ty dziś odejdziesz. Do twej ojczyzny.

Więc poraz ostatni — miły przyjacielu obchodzisz wszystkie kąty i komnaty, jakbyś chciał ich starość w siebie wcielić, ich historie zamknąć w sobie i w własnym sercu przewieźć ją do Ziemi Izraela.

Wreszcie patrzysz po raz ostatni przez zakratowane okno ku tym samym dolinom, ku którym spozierały oczy twych przodków. A wtedy przed wiekami tak samo przez szeroko otwarte okienice wpływało do komnaty ciepłe majowe powietrze, przepojone wonią rozoranej ziemi i rozkwitających drzew. I tak samo chwiały się lekko gałęzie jabłoni osypane gęsto białem kwieciem i tak samo otrząsały złoty pył, drgający na smudze dogasających promieni. Z nad zielonych pól i granatowych borów, kołyszących się nad Rudawą wznosiły się powiewne obłoki oparów, oświetlone miedzianym światłem zachodzącego słońca, co kryło się zwolna za ciemne pasmo wzgórz.

Smak tego wieczoru czujesz na spalonych od żaru wargach. Ten smak jest gorzki jak doświadczenie. Brzemię tego wieczoru czujesz na twoich barkach. To brzemię krzyża, na którym przez dwa tysiące lat konałeś. Cień tego wieczoru czujesz na twoich oczach. To cień dziejów twego narodu.

O zaklęte koło dziejów! O święta linio kolista, zamykająca w swym polu męczeństwo narodu, los człowieczy, bolesne wędrówki i postoje i radość powrotu.

Przyjacielu miły! Gdy z statku prującego błękitne fale Adriatyku, spojrzysz ku italskiej ziemi, tonącej w blasku wiosennego słońca, wspomnij, że właśnie tędy biegła przed tysiącami lat twa droga — ku Europie.

A ty okrwawiony, skatowany przez stulecia Żyd, w ciszy nocnej śpiewasz pieśni powrotu, a przy tobie czuwa anioł o najbielszych dłoniach i najczulszem sercu, który wstąpił w ciebie przed laty, w pewien smutny wieczór, aby cię wyprowadzić z domu niewoli.

Błogosławione ręce tego anioła, błogosławione jego usta, błogosławiony grzech, który was splótł w szczelnym uścisku!

Pochyl się pokornie do jego nóg i pewną ręką zamknij poza sobą koło dziejów, jak fatalny pierścień.

Już za kilka dni nad spokojnymi falami wzejdzie południowe słońce. Stać będziesz wówczas na górnym pokładzie, wpatrzony w siny pas mgły, z poza którego lada chwila wyłoni się ziemia. Twoja ziemia. Więc stać będziesz w ciszy ogromnej, wśród szumiących fal, pod słońcem wchodzącym nad Mare Nostrum i po raz pierwszy od dwóch tysięcy lat z drżeniem w sercu czekać będziesz na pojawienie się ziemi, która już tam za obłokiem mgły praży się w promieniach upalnego poranka.

Nagle w głębi widnokręgu, w strumieniach złota, padającego z rozżarzonego nieba, zarysuje się delikatną linią żółty pas ziemi.

W gardle pocznie cię dławić szloch.

Zarys brzegów stanie się co raz wyraźniejszy. Już amfiteatralną piramidą wystrzeli w górę Jaffa, już złocić się będzie w słońcu biały masyw Tel-Awiwu, już zakołyszą się motorówki hebrajskiej policji.

Na przednim maszcie, w ognistym powiewie chamsinu — cicho, spokojnie szleścić będzie niebiesko - biały sztandar.

ROMAN BRANDSTAETTER

KRONIKA LITERACKA

ŻYDOSTWO WSPÓŁCZESNE"

W Zurychu ukazała się książka Hugona Marxa pt.: „Das Judentum der Gegenwart". Autor w publikacji swojej w formie zwięzłej zobrazował problematy, nurtujące współczesne żydostwo.

„BRACIA ASZKENAZY" J. J. SINGERA JAKO DRAMAT.

Głośna powieść J. J. Singera „Di Brider Aszkenazi" zostanie wkrótce udramatyzowana. Sztukę tę wystawi w Nowym Jorku Morris Szwarc.

ODDZIAŁ „IWA" W JOHANESBURGU

Z inicjatywy Dra Steinberga z Londynu został założony oddział „Iwa" (Żyd. Instytutu Naukowego) w Johanensburgu i w Afryce Południowej.

50-LECIE „ZIEMI" ZOLI.

W czerwcu odbędą się w Paryżu wielkie uroczystości w związku z 50-leciem „Ziemi" Zoli. W uroczystościach wezmą udział żydowskie związki kulturalne i społeczne, które oddadzą hołd twórczości wielkiego powieściopisarza i szlachetnego człowieka, który w czasie procesu Dreyfussa tak bardzo przysłużył się sprawie żydostwa.

WSPOMNIENIA PADEREWSKIEGO.

W najbliższym czasie ukażą się w Londynie w wydaniu książkowym wspomnienia Paderewskiego, spisane przez znaną dziennikarkę angielską Marię Lawton.

„MIRIAM I HERODES" NA SCENIE „OHELU".

Dramat Falka Halperina „Miriam i Herodes" ukaże się w najbliższym czasie na deskach świetnego teatru hebrajskiego **„Ohel"** w Tel-Avivie. Przed kilkoma laty, sztukę tę wystawił w polskim przekładzie Teatr Miejski w Wilnie.

WIELKI SUKCES „HARNASIÓW" SZYMANOWSKIEGO W LONDYNIE.

„Philharmonie Symphony" wystawiła dziś w największej sali koncertowej Nowego Yorku Carnegie Hall „Harnasie"Szymanowskiego w formie koncertowej. Dyrygował Artur Rodziński. Publiczności rozdano przy wejściu na salę wraz z programem koncertu żałobne notatki o śmierci Szymanowskiego.

Sukces „Harnasi" jest ogromny. Prasa jednogłośnie podkreśla momenty najwyższego natchnienia muzycznego i przesubtelną orkiestrację oryginalnego dzieła kompozytora polskiego.

SZTUKA ANDRZEJA MARKA „PIEŚNIARZE" NA SCENIE PRZEMYSKIEJ.

Koło dramatycznej im. E. R. Kamińskiej w Przemyślu wystawiło znaną sztukę Andrzeja Marka pt.: „Pieśniarze".

„PROSTO W OCZY" ANTONIEGO GRONWICZA

Nakładem „Księgarni Nowoczesnej" we Lwowie ukazał się tom wierszy znanego i utalentowanego poety Antoniego Gronowicza.

ELZE LASKER - SCHUELER MUSI OPUŚCIĆ SZWAJCARIĘ.

Władze szwajcarskie odmówiły przedłużenia prawa pobytu najświetniejszej poetce niemiecko-żydowskiej Elze Lasker-Schueler, która opuściła Niemcy po dojściu Hitlera do władzy. Lasker-Schueler liczy obecnie 62 lata.

20-LETNI ŻYD LAUREATEM WĘGIERSKIEJ NAGRODY LITERACKIEJ.

20-letni grawer, Żyd, Andreas Veszi otrzymał pierwszą nagrodę im. Kolomana Mikzsata za autobiograficzną powieść z życia terminatora, który po wieloletniej pracy stał się majstrem. Jury rozpatrzyło 164 utwory. Wielki dziennik węgierski „Ujsag" nabył prawo druku nagrodzonej powieści.

ANTENA ŚWIATA

Powtórne życie

Minęło dziesięć lat od chwili, kiedy fizjolog rosyjski, Sergiusz Brukhanenko, rywalizujący ze szkołą wielkiego Iwana Pawłowa, zadziwił świat naukowy następującym doświadczeniem: odciął głowę psu, „połączył" naczynia krwionośne głowy z rurkami swego aparatu do cyrkulacji krwi (t. zw. sztuczne serce). Odcięta głowa żyła jeszcze przez sześć godzin. I nie tylko reagowała na wszelki wstrząs, poruszała powiekami, warczała, a język poruszał się po wargach, lecz również połykała wszelkie pożywienia, jakie jej przynoszono. Serce sztuczne — autoprożektor, według terminologii Brukhanenko, odżywiał naczynia krwionośne z taką samą regularnością i dokładnością, jak serce prawdziwe.

W kilka lat później przystąpił Brukhanenko do drugiego stadium swych zdumiewających doświadczeń: zaczął przywracać do życia organizmy. Otwierano psu pierś i pincetką zatrzymywano ruch serca. Po kilku chwilach pies nie żył. Czekano jeszcze kilka minut, eksperymentator włączył swój autoprożektor i pies powracał do życia.

„Śmierć — mówi Brukhanenko — jest to specyficzny proces fizjologiczny, składający się z licznych etapów. My staramy się poznać zarówno te etapy, gdzie wiedza jest w stanie odnowić życie, zarówno jak i te, kiedy wiedza staje się niedostateczną.

Prace Instytutu, jaki rząd sowiecki stworzył w ubiegłym roku dla Brukhanenko i jego współpracowników, udowodniły do jakiego stopnia etapy te są długie i skomplikowane. Początkowo myślano, że można przywrócić zwierzęta do życia tylko w tym wypadku, kiedy między chwilą śmierci a rozpoczęciem eksperymentu nie upłynie więcej aniżeli 5 minut, obecnie autoprożektor może zacząć działać nawet po upływie pół godziny. Przed paru miesiącami Instytut odniósł nowe zwycięstwo: udało się mianowicie utrzymać przy życiu wskrzeszone zwierzęta, wszystkie dotychczas przywrócone do życia umierały po paru godzinach.

Menażeria Instytutu liczy pośród swych gości 5 psów, które przeżywają swoje drugie życie; żyją one od sierpnia ubiegłego roku. Śmierć była zadana różnymi sposobami: przez otrucie, upływ krwi itd., itd. obecnie są najzupełniej zdrowe i czują się znakomicie. Lepiej jeszcze: jedna z suczek „Filetka" jest obecnie ciężarna, ojciec „Cygan" jest również zmartwychwstańcem.

Ubiegłego roku demonstrował Brukhanenko swe badania na Międzynarodowym Kongresie Fizjologów w Moskwie, wskrzeszając psa.

Następca Ghandiego

Myślano powszechnie, że z usunięciem się Gandhiego ustanie w Indiach ruch biernego oporu przeciwko Wielkiej Brytanii. Trudno było sobie wyobrazić, że znajdzie się człowiek zdolny kontynuować dzieło Gandhiego i cieszący się taką samą popularnością wśród ludności. Jednakowoż Paudit Nehru zdołał zdobyć sobie godność następcy wielkiego Mahatmy. Aby zjednać sobie poważanie i szacunek musiał Nehru wykazać wobec mas swe walory osobiste. Duchowy następca Gadhiego musiał przejść próbę ogniową cierpień. Tę próbę stanowiły w pierwszym rzędzie lata spędzone w rozmaitych więzieniach angielskich w Indiach. Licząc dzisiaj 47 lat, ma on już za sobą 20 lat czynnej pracy politycznej, w tym przeszło 6 lat spędzonych po więzieniach.

Paudit Jawaharbal Nehru wywodzi się z jednej z najznakomitszych i najbogatszych rodzin hinduskich. Dzieciństwo jego upłynęło w nieprawdopodobnym wprost zbytku, a rezudencja jego ojca przewyższała wspaniałością pałace maharadżów. Różne legendy krążą wśród ludu o niesłychanym bogactwie rodziny Nehru. Między innymi nprz. opowiadają, że Nehrowie są tak niezmiernie bogaci, że bieliznę do prania posyłają co tydzień do... Paryża. Podają również i ten szczegół, że gdy Nehru uczęszczał do kolegium w Harrow, zaprzyjaźnił się tak serdecznie z ówczesnym kc. Wallji (obecny ks. Windsor), że książę w czasie swej podróży po Indiach odwiedził go w więzieniu.

Obecnie cały jego bajeczny majątek ofiarowany został dla dobra sprawy i ta oto obojętność dla pieniędzy zjednała Pauditowi Nehru serca i zaufanie jego ludu.

Po długich latach bliskiej współpracy z gandhim rozchodzą się dzisiaj ich drogi. Nehru jest socjalistą i widzi zbawienie Indji w całkowitej zmianie istniejącego stanu rzeczy, nawet przez rewolucję, o ile zajdzie potrzeba. Na tym właśnie punkcie różnią się między sobą młody wódz ze starym, któremu zarzuca niepotrzebne mieszanie religii do polityki.

Socjalizm jest w Indiach niepopularny, większość kongresu jest antysocjalistycznie usposobiona. Lud zaś wciąż jest konserwatywny przypisując swą nędzę raczej fatalizmowi, a nie przyczynom spełecznym czy politycznym. Jednakowoż istnieje jeden punkt co do którego nie ma sprzeciwu w Indiach: jest to konieczność zdobycia niezależności narodowej. Oto dlaczego Paudit Nehru długoletni, niestrudzony bojownik o wolność polityczną swego narodu, może liczyć na poparcie mas pomimo swych niepopularnych haseł socjalistycznych.

Pochodzenie hiszp. hymnu narodowego

Mało kto wie o tym, że autorem starego hymnu hiszpańskiego, który obecnie stał się hymnem oddziałów gen. Franco, był Fryderyk Wielki, król Pruski. Król - filozof, w wolnych chwilach pobrzękujący na flecie, był pełnym smaku muzykiem i utalentowanym kompozytorem. W kilka lat po zakończeniu wojny siedmioletniej skomponował marsz, którego manuskrypt ofiarował hiszpańskiemu ambasadorowi w dowód przyjaźni dla hiszpańskiej dynastii. Marsz ten, przyjęty z wielką serdecznością, był obowiązkowo grany na wszystkich uroczystościach dworskich i państwowych. Po wielu latach dopiero popadł w zapomnienie, z którego wydobyto go z końcem XIX w. podczas konkursu na hiszpański hymn narodowy. Marsz Fryderyka, przesłany na konkurs anonimowo, spotkał się z gorącym przyjęciem jury i został ogłoszony hymnem państwowym. Zainteresowano się wtedy, kto jest autorem nagrodzonego utworu i ku wielkiemu zdumieniu sędziów okazało się, że zwycięzcą konkursu jest nieżyjący już od wielu, wielu lat król Pruski, Fryderyk Wielki

Małomówny Kipling

Kipling bardzo bał się „słów" i wobec tego bardzo rzadko i skąpo mówił o sobie w swoich dziełach. Pozostawił w spuściźnie swoim wydawcom trud opublikowania kilku stron jego autobiografii. W pracy, zatytułowanej „Kilka rzeczy o sobie samym" i dedykowanej swoim „przyjaciołom znanym i nieznanym" nie zostawił nam analizy swego życia i dzieł. Jest to tylko maleńka książeczka, napisana przez autora w r. 1935, w wieku lat siedemdziesięciu. Omawia w niej Kinpling prawie że wyłącznie swój okres życia, począwszy od wieku młodzieńczego aż do lat pięćdziesięciu. Wielki pisarz angielski składa na tych stronach hołd tym wszystkim, którzy wywarli na nim wielki wpływ, a przede wszystkim swym rodzicom. W 70-tym roku życia w taki oto sposób wspomina swego ojca:

„Jest we mnie duża doza dobroci i sporo rozumu i z tego najlepsze zawdzięczam swemu ojcu".

Liczne miejsca książki poświęcone są jego metodzie pisarskiej: „Nie ma w dziełach ani jednej linii czy to w prozie, czy w wierszu, której bym kilkakrotnie nie próbował. Prosty akt pisania był dla mnie zawsze przyjemnością fizyczną".

2100 m. nad poz. morza

Na tej zawrotnej wysokości powstanie w 1937 r. najwyższy hotel w świecie. Nowy ten rekord tym razem nie będzie udziałem Stanów Zjednoczonych, ani Francji, lecz Rosji Sowieckiej.

Hotel zbudowany zostanie w Elbruzie, na Kaukazie. Będzie to gmach zaledwie 2-piętrowy, ale za to b. rozległy, o kształcie wybitnie aerodynamicznym. W 50 pokojach znajdzie pomieszczenie około 200 turystów, pragnących zakosztować sportów zimowych w górach Kaukazu. Wykonano już w rzeźbie model tego przyszłego pałacu zimowego, który doskonale oddaje odporność jego kształtów na działanie gwałtownych wiatrów wyżynnych. Koszty przezaczone na budowę hotelu wynoszą ponad 500 tys. rubli.

Chleb „nieco czerstwy"

Znaleziono przed paru tygodniami w Ljunga, we wschodniej Szwecji, chleb prawie tysiącletni, pochodzący z epoki Wikingów. Dzięki badaniu mikroskopijnemu ustalono, że chleb ten wyrabiano z kory sosnowej, zmieszanej z mąką grochową. To odkrycie wskazuje niezbicie, że w 900 r. po n. Chr. kultywowano w Szwecji groch. W wykopaliskach archeologicznych bardzo rzadko natrafia się na chleb; znamy tylko chleb pochodzący z okresu starożytności i prehistorii Europy. Autor odkrycia w Ljunga znalazł przed paru laty w starożytnym zameczku w Boberg chleb, pieczony z mąki zbożowej, pochodzącej z IV w. po n. Chr.

Nowy zawód

Nowy zawód „powstał w Japonii — zawód „próbowacza masek gazowych". Jak wiemy, Japonia, fabrykuje tysiące masek gazowych dziennie. Otóż maski te zewnętrznie nie różnią się między sobą, lecz któż udowodni, że w rzeczywistości są one identyczne. Aby fabrykanci, państwo, a co za tym, idzie, i publiczność pozbyły się tych wątpliwości, postanowiono skorzystać z usług „próbowacza" maskowego.

Otóż taki „próbowacz" zatrudniony jest w głównej fabryce masek. Każdą nową maskę zakłada mu się na głowę, po czym wprowadza go się do szczelnie zamkniętego pokoju przepełnionego trującym gazem Po kilku min. próby, jeśli próbowacz wychodzi cały i zdrów, maski nadają się do użytku w przeciwnym razie cała seria, podlega zniszczeniu. Przy sprawdzaniu uszczelnienia masek bywa dużo śmiertelnych wypadków, jednak ludzie tym się nie zrażają. Np. teraźniejszy próbowacz największej wytwórni masek w Tokio jest ósmym z kolei pracujących dla wymienionej fabryki; siedmiu jego poprzednikom szczęście nie dopisało. Mimo tragicznego końca swych towarzyszy, obecny próbowacz nie rezygnuje ze swej pracy i zarabia aż... 1.60 zł. dziennie.

Oryginalna reklama

W Chicago wsiada do autobusu w towarzystwie młodej i przystojnej panny pewien staruszek, który wydaje się być głuchym, bo ma na uszach założoną słuchawkę. Rychło po tym, gdy para zajęła miejsce, panna zwarca się do swego towarzysza:

— „Dziadku, nie zapomnij o kupnie musztardy „Doublezède."

— „Doublezède? jakie Doublezède?"

— „Najlepszą musztardę Doublezède"!.

Staruszek ma wciąż głupkowatą minę i wydaje się nic nie rozumieć, panna zaś powtarza kilkakrotnie, mówiąc coraz głośniej, ale bezskutecznie.....

W końcu jeden z obecnych w wozie panów zlitował się nad zrozpaczoną dziewczyną i krzyknął w słuchawkę głuchego: „Musztarda Doublezède, najlepsza marka świata."!

Głuchy uśmiechnął się, jak gdyby zrozumiał i podziękował. Na najbliższym przystanku para opuściła autobus, aby w następnym odegrać tę samą komedię na nowo.

(L—y)

KINO

BAŁTYK. „DAMA KAMELIOWA"

Są tematy, które wydają się producentom filmowym wiecznie młode, wiecznie aktualne i interesujące. Do nich należy „Dama Kameliowa". Ta powieść, niegdyś tak pasjonująca i porywająca, powieść, która stała się pewnego rodzaju symbolem — tylokrotnie przerabiana na scenę i film, — straciła, trzeba to przyznać, swą atrakcyjność. I dlatego dzisiejsza transkrypcja nie budzi już dawnych wzruszeń, ani dawnego zainteresowania, mimo, że film zrobiony jest dobrze,, inteligentnie, a nawet posiada kilka scen wręcz doskonałych.

Greta Garbo kreacją swą przypomniała swe najpiękniejsze tradycje. Oprócz pierwszych paru scen, gdzie Madeleine Gautier ma być wesołą kurtyzaną, Greta Garbo stworzyła z właściwą sobie wewnętrzną, maskowaną pasją postać mocną i prawdziwą. Nikt nie potrafi cierpieć tak pięknie, jak ta aktorka.

Robert Taylor jest naprawdę „najpiękniejszym chłopcem z Hollywood". Ale czy takim miał być Armand Duval? Nadprogram malownicze tańce ludowe z cyklu „Kujawy" stokroć bardziej przyczyniły się do propagandy krajoznawstwa, niż nudne, nużące wędrówki plenowe po miastach i miasteczkach.

EUROPA. „ZIELONY SYGNAŁ"

Film Franka Borrage jeszcze raz w sposób dobitny wykazał, jak trudno jest sfilmować powieść, i to do tego powieść o podłożu psychologicznym. Zielony sygnał — to znak świetlny, regulujący ruch kołowy na ulicach wielkiego miasta. W przenośni, zastosowanej w tym filmie, jest wolna droga dla postępu cywilizacji i dla rozwoju ludzkości. Idea ta, wielokrotnie wyrażona przez dziekana - kaznodzieję, nie przemawia do uczuć publiczności, a przeciwnie — razi, drażni i nawet śmieszy swoją napuszoną frazeologią i oderwanym od życia irrealizmem. Pojęcia Nauki i Wiary w przedziwny sposób łączą się w tym filmie — stwarzając jeszcze większy galimatias wręcz nie życiowych sytuacji i problemów.. Całe podłoże filmu wydaje się nieprawdopodobne i niepotrzebne, poszczególne wątki nie łączą się z sobą i plączą się, każda z postaci jest papierowa, blada i nieumotywowana psychologicznie.

A jednak film trzyma widza w pewnego rodzaju napięciu, mimo budzącej bunt frazeologii i doktrynerstwa — z zainteresowaniem śledzi się rozwój akcji To wpływ niewątpliwego talentu Franka Borrage, który pełny swój wyraz znalazł we wspaniałej scenie operacji i przejmującej, oryginalnie odtworzonej śmierci pacjentki.

Z aktorów poza piękną, inteligentną wyżlicą Sylwią — nikt się wyróżnił.

Errol Flynn zbyt pięknie jeździ konno, aby go angażawać do nieplenerowych filmów.

T. S.

Prenumerata: miesięczna 1 zł. 20 gr., kwartalna 3 zł. 50 gr., za granicą kwartalna 5 zł.
Ceny ogłoszeń: za m/m za tekstem 80 gr., w tekście 1 zł. Strona zawiera 5 szpalt. Na stronę pierwszą ogłoszeń nie przyjmuje się.

Redaktor: Dr. M. KLEINBAUM — Wydawca: TOW. WYD. „STER" sp. z o. o. — Redaktor odpowiedzialny: A. KLARMAN.

Druk. B-ci Wójcikiewicz, Warszawa